GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 SIERPNIA 1935 R.

NR. 15—16 ROK V

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 15—16

1935 R.

1 — VIII

JACEK RUDZIŃSKI

INWESTYCYJNY EMPIRYZM

Zagadnienia inwestycyj publicznych traktować należy na szerokiej płaszczyźnie świadomej polityki inwestycyjnej. Koordynowanie przy robotach publicznych motywów społecznych i gospodarczych daje w praktyce zawsze przewagę motywom społecznym; obawiać się można, że szkody gospodarcze stają się często zbyt wielkie.

Problem inwestycyj publicznych jest obecnie w fazie rozrastania się stopniowego zarówno naskutek rzeczywistego przebiegu wydarzeń, jak też dzięki aktualności, jakiej nabiera w szerokiej opinji społecznej. Niestety, jest on w naszych warunkach społeczno - gospodarczych natyle skomplikowany i trudny, że publicystyka niebardzo może i chce zajmować się nim bliżej i oświetlić krytycznie. Toteż poza zestawieniami cyfrowemi lub wiadomościami reporterskiemi z „placu boju" niewiele można się na ten temat dowiedzieć; próby wywołania merytorycznej dyskusji zawodzą wobec zbyt wielkiej rozbieżności zdań. Tymczasem życie idzie naprzód i samo kształtuje w sposób czasem niezbyt udatny przebieg i zmiany procesów inwestycyj publicznych. Chcielibyśmy obecnie krótko zreasumować sytuację i skonfrontować ją pobieżnie z postulatami gospodarczemi. Przedewszystkiem ustalić należy istotny charakter podejmowanych robót publicznych: wydaje się bowiem, że zachodzi dziś często pewne nieporozumienie: wobec deflacyjnego kursu polityki nawet w tak wąskim zakresie, jak to się w Polsce dzieje, traktowane jest raczej jako malum necessarium, powstałe na tle stosunków na rynku pracy; stąd też niewątpliwie zanotować można przewagę punktu widzenia walki z bezrobociem nad punktem widzenia gospodarczym. Przewaga ta wynika oczywiście jeszcze i z innych pobudek, o których dalej wspomnimy; teraz chodzi tylko o podkreślenie tego momentu o charakterze doktrynalnym, który przyczynia się w poważnym stopniu do fałszywego „podejścia" psychologicznego. Wydaje się jednak, że podejmowanie robót publicznych w rozmiarach dość skromnych, bez wywoływania inflacji pieniężnej lub kredytowej, nietylko nie jest teoretycznie sprzeczne z polityką zniżki cen, ale jest w naszych warunkach wprost niezbędnem antidotum dla kurczącej się wytwórczości, malejącej inicjatywy prywatnej i dekapitalizacji rzeczowej. Posiadają one więc swą rację bytu bez względu na cele walki z bezrobociem, rację, która zyskuje na sile w obecnej fazie cyklu konjunkturalnego. To jedna strona zagadnienia. Drugą stanowi konieczność społeczno - polityczna udzielania przez państwo pomocy rzeszom bezrobotnych.

Pierwotnie sytuacja kształtowała się w ten sposób, że pomoc ta udzielana była jedynie w formie zasiłków, robót publicznych zaś, poza inwestycjami „resortowemi", wogóle nie podejmowano. Stworzenie Funduszu Pracy było kompromisem między koniecznością prowadzenia robót publicznych a koniecznością dalszej interwencji na rynku pracy w formie zatrudnienia. Przyznać trzeba, że już w założeniu koncepcja jednoczesnej realizacji tych dwóch celów z możliwie małym uszczerbkiem dla każdego z nich jest

dość trudna. Przewidywać było można przewagę strony bardziej „życiowej", przewagę polityki dnia powszedniego nad przesłankami gospodarczemi. Można przypuszczać, że nawet silna organizacja i bardzo niezależne stanowisko władz powołanej do życia instytucji nie pozwoliłyby jej w tej sytuacji utrzymać stale możliwej równowagi. Tak więc dzisiaj z jednej strony inwestycje z funduszów publicznych podejmują poszczególne resorty we własnym zakresie i w miarę swych potrzeb, z drugiej zaś — Fundusz Pracy pod kątem widzenia maksymalnego efektu (ilościowego) w zakresie zatrudnienia. Jeżeli zastanowimy się teraz nad gospodarczem znaczeniem tego stanu rzeczy, to wnioski będą niezbyt optymistyczne. Sumy, przeznaczone na inwestycje, są co roku tak poważne, że sposób ich dyspozycji nie może być obojętny. Na 1935 — 36 rok wydatki resortowe łącznie z Funduszem Pracy preliminowano na 270 milj. zł. bez Pożyczki Inwestycyjnej, a łącznie z Pożyczką — na prawie 400 milj. zł. Do tego należy dodać inwestycje samorządu terytorjalnego (ok. 70 milj. zł. bez kredytów Funduszu Pracy) i kredyty budowlane uruchamiane przez B. G. K. (42 milj. zł.). Tak więc łącznie preliminowano na r. b. ok. 500 milj. zł. Suma globalna jest więc jak na nasze możliwości dość wysoka; uderza przytem rozdrobnienie ośrodków dyspozycji, przyczem niemal każdy z nich w swych gospodarczych przesłankach kieruje się odmiennemi kryterjami. Jeśli ograniczymy w tej chwili pole obserwacji do wydatków budżetowych administracji, przedsiębiorstw i funduszów, to stwierdzić wypada, że nawet w tym dziale inwestycyj publicznych niema myśli przewodniej. Każdy resort — w miarę swych doraźnych potrzeb i w granicach samodzielności jaką udaje mu się uzyskać — prowadzi własną politykę inwestycyjną, nie troszcząc się o całokształt rezultatów; nieco lepsza sytuacja panuje w resortach gospodarczych, które przeprowadzają swoje inwestycje przynajmniej według zgóry opracowanego planu (plan inwestycyj kolejowych, drogowych itd.), choć i tu niema sprawdzianu ogólno - gospodarczego. Jest to, naogół biorąc, typowa gospodarka planowa bez planu. Przyczyny tego stanu rzeczy wydają się dostatecznie jasne: brak odpowiedniego poza- lub ponadresortowego organu opinjodawczego oraz niesprecyzowane dotąd ogólne założenia polityki inwestycyj publicznych.

Jeśli chodzi o pierwszą sprawę, to ani Ministerstwo Skarbu, ani Komitet Ekonomiczny Ministrów tej roli nie spełniają. Minister byłby jedynie skrępowany zdaniem organu opinjodawczego co do celowości ogólno - gospodarczej danej inwestycji. Wydaje się, że możnaby wówczas przerwać szkodliwą praktykę uzasadniania rozmaitych posunięć argumentami gospodarczemi, a istotne motywy zyskałyby na wyrazistości, co przyczynić się tylko może do łatwiejszej decyzji zatwierdzającego forum; powstanie więc sui generis konflikt, który będzie dla wszystkich korzystny, gdyż rozjaśni meritum sprawy i ustali granice odpowiedzialności. Jeśli więc konkretna sprawa mimo negatywnej opinji organu doradczego zostanie przesądzona na korzyść wnioskodawcy, to będzie można mieć pewność, że gospodarczy punkt widzenia został podporządkowany przesłankom wyższym w ogólnej hierarchji zadań państwa. Brak wyższej instancji koordynującej zamierzenia poszczególnych resortów daje się zresztą odczuwać nietylko w płaszczyźnie inwestycyj publicznych, ale również w płaszczyźnie ogólnej polityki gospodarczej. Oczywiście, nasuwa się odrazu istotny zarzut: poco stwarzać jakiś nowy organ aparatu państwowego, skoro będzie on pozbawiony gospodarczych kryterjów wobec chwiejności polityki inwestycyjnej? Na zarzut ten można odpowiedzieć: 1) że ustalenie zasad takiej polityki sensu largo nie jest już dziś tak trudne; 2) że organ opinjodawczy stałby się komórką gospodarczą, któraby miała właśnie możność i obowiązek nad niemi się zastanawiać. Jasnem jest, że nie chodzi tu o jakiś sztywny i drobiazgowy schemat; można jednak sądzić, że dzisiejsza znajomość struktury gospodarczej kraju pozwala już na sformowanie generalnych linji wytycznych i świadome stosowanie ich w życiu.

Przechodząc skolei do właściwych „robót publicznych", finansowanych przez Fundusz Pracy, wydaje się niemożliwem w dalszej perspektywie utrzymanie dzisiejszego stanu rzeczy. Sytuacja byłaby dostatecznie jasna, gdyby jeszcze inna instytucja poza Funduszem prowadziła roboty publiczne; skoro jednak Fundusz spełnia faktycznie rolę Ministerstwa Robót Publicznych, a powodowany innemi przesłankami ustawowemi i życiowemi nie może jej spełniać dobrze, to pozostają dwa rozwiązania: albo ograniczyć kompetencje Funduszu wyłącznie do funkcyj pomocy dla bezrobotnych w formie zasiłków i pomocy doraźnej i stworzyć oddzielną namiastkę ministerstwa robót publicznych, albo też w ramach Funduszu starać się o większe rozgraniczenie tych dwóch zadań. W tej chwili to drugie wyjście wydaje się lepsze i prostsze. Obecny stan rzeczy zmusza Fundusz do szkodliwych kompromisów, wyrażających się w terytorjalnem rozbiciu robót według nasilenia bezrobocia oraz w forsowaniu zatrudnienia bezpośredniego (tem się np. tłumaczy nikły zakres inwestycyj energetycznych — elektryfikacji i gazyfikacji; prowadzi to często do sztucznego wynajdywania robót w danym okręgu, mimo braku uzasadnienia gospodarczego (np. park week-endowy w Tomaszowie). Do tej kategorji zaliczyćby prawdopodobnie można większość robót, rozproszkowanych w małych ośrodkach miejskich. Do rzędu stosowanych środków, podrażających w ostatecznym rezultacie daną inwestycję, należą niskie stawki płacy, przymus dla przedsiębiorcy zatrudnienia określonej ilości i kategorji robotników. To są wszystko efekty doraźne, efekty, które dają się łatwo zbilansować w ramach działalności danej instytucji, ale które w ramach całości gospodarstwa, nawet tylko pod kątem widzenia zatrudnienia bezrobocznych, nie wyglądają tak prosto. Tak więc zasada zatrudniania bezpośredniego koliduje zwykle z zasadą trwałości zatrudnienia, zasada zatrudniania bezrobocznych miejskich w ośrodkach bezrobocia wiejskiego jest społecznie mało wydajna itp.

Wydaje się, że lepiej byłoby, gdyby Fundusz Pracy mógł część środków (20 — 30%) dotychczas

obracanych na zatrudnienie, poświęcić na roboty publiczne, prowadzone już wyłącznie z punktu widzenia potrzeb społeczno - politycznych, lub na akcję pomocy doraźnej, przy której krąg bezroboczych korzystających dotychczas z pomocy w formie zatrudnienia rozszerzyłby się znacznie, pozostałe natomiast sumy zużywać na roboty, kierując się już wyłącznie kryterjami gospodarczemi.

Oczywiście, zakres tych kryterjów (pomijając sprawę ogólnego programu i kierunku inwestycyj, którąby była zasadniczo przepracowana poza Funduszem lub łącznie z nim) musiałby wówczas zostać znacznie rozszerzony. Tak więc poza kwestją rentowności bezpośredniej lub pośredniej, na bliższą uwagę zasługuje wpływ, jaki wywierają roboty publiczne na zwiększenie konsumcji, zwłaszcza konsumcji artykułów rolnych, oraz znaczenie różnych kategoryj robót na przyspieszenie okresu poprawy konjunktury (duży udział wydatków rzeczowych, przemysły „kluczowe"). Realizacja całkowita niektórych kryterjów prowadzi również do sprzecznych rezultatów; tak więc pewne kompromisy interesów gospodarczych i tu będą uwzględnione.

Sądzić można, że przepracowanie ogólnego kierunku inwestycyj publicznych w oparciu o podstawowe dane struktury gospodarczej kraju (typowym, ale nie jedynym łańcuchem logicznym jest: przeludnienie wsi — reforma rolna — industrjalizacja) pozwoli na stworzenie ram, w których również i dalsze kryterja znajdą swoje miejsce. Być może, że pełna fantazji inicjatywa (np. przenoszenie bezrobotnych miejskich z Zagłębia Dąbrowskiego na Kresy Wschodnie w charakterze osadników rolnych) uległaby wówczas pewnemu koniecznemu skrępowaniu.

Za kierunek i realizację całokształtu inwestycyj publicznych ktoś musi być odpowiedzialny. Dotychczasowy empiryzm jest wystawianiem weksli na przyszłe pokolenia.

ANDRZEJ FALK

WYZNACZNIKI

Polską politykę gospodarczą lat najbliższych wyznaczają: nasze położenie geo - polityczne, nasza historja, struktura i psychika mas, rola inteligencji, jako klasy, silny przyrost ludności, niezatrudnione falangi młodzieży, zły podział dochodu społecznego.

Polska polityka gospodarcza i polska myśl ekonomiczna nie mogą rodzić się przy biurku, w czterech ścianach zacisznego gabinetu ekonomisty - teoretyka. Ekonomista, jak mało który uczony, nie wyprzedza życia, lecz idzie jego śladami. Im więcej tych śladów, a raczej — im bardziej są one wyraźne, tem głębszą i mocniejszą jest dokonywana przezeń praca myślowa, mogąca być nawet pracą twórczą, normatywną, a nie tylko sumą obserwacyj· rejestrem faktów dokonanych i retrospekcja. W polskich warunkach ilość czysto gospodarczych elementów ekonomicznego myślenia jest daleko szczuplejsza, niż w krajach Zachodu, a co więcej — koleiny tych myśli są zarysowane blado i płytko. Materjał, z którego będzie tworzył polski ekonomista, i którego użyje polski działacz gospodarczy, ma w sobie daleko więcej pierwiastków nie-gospodarczych, które można ochrzcić mianem „imponderabilia". One to w pierwszym rzędzie wyznaczają drogi naszej polityki gospodarczej, one odsuwają na plan drugi momenty, posiadające prawo obywatelstwa w podręcznikach ekonomji, one — wreszcie — gotowe są zakwestjonować, że $2 \times 2 = 4$.

Klasyczny system ekonomji społecznej załamuje się przedewszystkiem na strukturze geo - politycznej polskiego gospodarstwa narodowego. Prosty rzut oka na mapę wystarczy, by stwierdzić, jak rzeczywistość polska zaprzecza strefom Thünena, urąga podziałowi pracy dzielnic i okręgów lub kłóci się z zasadą najniższych kosztów. Ekonomicznie rzecz biorąc, Polska „ustawiona" jest wadliwie, a nieboszczka R. Luxemburg musi się przewracać w grobie, wiedząc o istnieniu Łodzi bez jej dawnego zaplecza, Rosji. Nie jest też rzeczą przypadku, iż ognisko myśli liberalnej w ekonomji rozwija się — poza cichym Krakowem — jedynie jeszcze w polskim Manchesterze, który, pasując do epoki przedwojennej, nie mieści się w powojennym układzie stosunków.

Nasze położenie *geo-polityczne* stanowi potężny wyznacznik naszej polityki, a przez tę ostatnią — kierunków naszej gospodarki. Wciśnięci pomiędzy dwa kolosy — Rosję i Niemcy, zakorkowani od północy przez małą ale dokuczliwą Litwę, zmuszeni jesteśmy, być może wbrew samym sobie, do ekspansji, która chwilowo przybiera skromną formę „okna, wybitego na świat": Gdyni i własnej floty handlowej. Ta sama struktura geo-polityczna wykreśla kierunki rozwoju naszej sieci komunikacyjnej i oznacza granice „trójkąta bezpieczeństwa", przez który nie należy rozumieć li-tylko wąskiego wycinka, przewidzianego w „odnośnym" dekrecie, lecz szeroką bazę dla nowo - powstałego czy też mającego powstać przemysłu i wytwórni energji elektrycznej. Z analogicznych powodów nie możemy poprzestać na drobnej własności rolnej, drobnym przemyśle i rzemiośle (zob. „Gosp. Nar." Nr. 14 str. 217), lecz musimy rozwinąć istniejące hutnictwo, przemysł kluczowy, którego rolę wyobrazimy sobie najlepiej, gdy weźmiemy pod uwagę, że w r. 1934 polska produkcja stali wynosiła zaledwie 3,7% produkcji stali Niemiec i Rosji Sowieckiej, razem wziętych.

Przechodząc od warunków geograficznych do *historyczno - politycznych*, dotykamy odrazu kwe-

stji, której należałoby poświęcić kilka artykułów a nie kilka zdań. Stwierdzić tylko wypada, iż polskiej polityki gospodarczej nie można sobie wyobrazić bez znajomości ostatnich 2 czy 3 stuleci naszej historji, która ukształtowała naszą psychikę gospodarczą na równi z naszym ustrojem wewnętrzno - politycznym. Błędy XVII i XVIII stul., tak ustrojowe, jak i gospodarcze zbyt silną posiadają wymowę, by można było przejść do porządku nad przyczynami ich, akcesorjami i skutkami. Fakt zaś, że jesteśmy świadkiem, jak ustroje sąsiadujących z nami państw zostały odwrócone jeśli nie o 180, to w każdym razie o 90 stopni, — zbiega się z potrzebą przezwyciężania w nas samych okresu niewoli i poprzedzającej go epoki „złotej wolności szlacheckiej".

Rola państwa w Polsce nie dlatego jest doniosła, że tak chcą ci lub tamci kierownicy życia publicznego, lecz dlatego, że tego chce nasza przeszłość i teraźniejszość, rozgrywająca się z nami i poza nami. *Autorytet państwa* ma znaczenie tak dalece wychowawcze, iż muszą mu ustąpić najbardziej nawet słuszne zastrzeżenia, wypływające z takiej czy innej kalkulacji handlowej. Jedno z przykazań dekalogu faszystowskiego powiada: Mussolini jest nieomylny, Mussolini ma zawsze rację. To jest na rozum śmieszne, ale dla wychowania mas stanowi atut niebylejaki. Włosi twierdzą, że tak pojęty dogmatyzm conajmniej ułatwia powstrzymanie leniwego narodu od popadnięcia w kwietyzm i sybarytyzm: nieomylny Mussolini zmusza swój naród do intensywnej i nie tylko na dzień dzisiejszy obliczonej pracy. A to także sprzyja wzrostowi bogactwa narodowego.

Może się mylę, ale bez systemu państwa — autorytetu nie możnaby sobie w naszych (nie zachodnio - europejskich) warunkach wyobrazić powodzenia akcji, w której dobro zbiorowe przewyższa dobro jednostek, a hasło w stylu, powiedzmy: inwestować kosztem konsumcji! — znajduje odzew w społeczeństwie bądź co bądź kapitalistycznem. Młode państwo i młode organizmy narodowe muszą używać innych metod, aniżeli doświadczone, nieomal zgrzybiałe organizmy Zachodu Europy. Rosja, Niemcy, Włochy, Stany Zjednoczone — że zacytujemy tylko większe państwa, stanowią przykład nie z dziedziny, broń Boże, ekonomicznej, lecz socjologicznej. Historja Włoch z epoki Cavoura, wielkiej wojny, gabinetów w stylu Facty i dyktatury Mussoliniego bynajmniej nie drogą przypadku przypomina nasze ostatnie lat 20-cia; różnica tempa nie przekreśla zbieżności punktów wyjścia (przyczyn) takiego a nie innego przebiegu wypadków.

Ale to jeszcze nie wszystko. Istnieją jeszcze inne wyznaczniki, o których się nieraz zapomina, choć posiadają swą doniosłą wymowę. Prof. Werner Sombart wyraził się był już przed paroma laty, że gospodarka dotychczas przodowała w obrębie całokształtu kultury, ale ten okres nieprędko się powtórzy i że teraz miarodajne będą raczej *interesy polityczne*. Niemieckie zbrojenia, przekształcanie się Rosji Sowieckiej z socjal-komunistycznego w nacjonal-komunistyczne państwo — oto przykład (bynajmniej nie wyczerpujący) zjawiska, które przesądza kierunki polityki gospodarczej świata, Europy i naszego kraju.

A teraz już tylko krok w dziedzinę zjawisk— że się tak wyrażę — niewymierzalnych. Bo jak wymierzyć te *przemiany w psychice* społeczeństw, wywołane wielką wojną, jako wielką wędrówką ludów i wielką wzajemną infiltracją? Jaki przyjąć wskaźnik dla tych doniosłych przekształceń, powstałych z jednej strony na tle rozwoju (chciałoby się powiedzieć: rewolucji) techniki, z drugiej zaś na tle zjawiska, którego nazwa: sport — nie oddaje właściwej treści, właściwego sensu. Wiek pary, gazu i elektryczności tworzył podstawy kapitalizmu i myśli liberalnej; inne zgoła oblicze ekonomiczne musi posiadać stulecie samochodu, samolotu, radja, telewizji itd., przyczem, kto wie, czy nie w tych „itd." leży clou zagadnienia. „Koncepcja państwa w epoce kina, samolotu, telegrafu bez drutu nie może być ta sama, co w epoce dyliżansów i pierwszych balonów kulistych" — powiada Rene Giraud („Vers une Internationale economique" Paris 1931). Te same wnioski nasuwają się w dziedzinie koncepcyj ekonomicznych.

Społeczeństwa wychowują się dzisiaj nie w szkółkach niedzielnych, lecz pod ustawicznym naciskiem najrozmaitszych przejawów współczesnego życia. Dla zrozumienia potrzeb gospodarczych trzeba nieraz wołać lekarza lub psychologa, a nie ekonomistę. Hasła emocjonalne „biorą" dzisiaj więcej, niż hasła rozumowane. Doktryny racjonalistyczne dostają w łeb nieraz od drobnych faktów z dziedziny, o „której się filozofom nie śniło". — „Nie po to zdobyłem się na ten wysiłek — oświadczył dziennikarzom młody robotnik, który kajakiem dotarł z Paryża do Stambułu — by zobaczyć obce, nieznane kraje. Chodziło mi przedewszystkiem o wypróbowanie samego siebie i sprawdzenie czy jestem zdolny do *realizacji* czegokolwiek (!). I jestem szczęśliwy, osiągnąwszy to, czego chciałem". Jest w tem oświadczeniu „wyznanie wiary" młodych pokoleń powojennych.

I, kto wie, czy nie położenie *młodzieży* będzie kolejnym wyznacznikiem naszej polityki gospodarczej. Czy fakt, że coroczny przyrost naturalny nie znajduje zatrudnienia, że dziesiątki tysięcy młodych ludzi nie wzięło jeszcze ani razu udziału w procesie produkcyjnym, że inne dziesiątki tysięcy manierują się w pracy poniżej minimum egzystencji i w źle (skutkiem nadmiaru rąk roboczych) wykorzystanej energji, że młodzież poborowa jest scherlała duchowo i fizycznie, — czy to wszystko nie wywrze doniosłego wpływu na kierunki rozwoju polskiej polityki gospodarczej? — I to wtedy, gdy przez miedzę wschodnią i przez miedzę zachodnią rozwiązuje się problem młodzieży jako kadry i to nie w skali, jak u nas, 20.000 „junaków", lecz w wymiarze nieomal 100%-wym!...

Kapitalizm nie potrafił usunąć klęski bezrobocia, obojętny na podział dochodu społecznego i na rolę tych wartości, od których bezpośrednio nie może obcinać kuponów. Trudno się więc dziwić, gdy go wyręcza lub zastępuje państwo, zainteresowane przedewszystkiem w „imponderabiliach", a nie takiej lub innej stopie wygospodarowanej przez kapitał renty. System podatkowy z jednej, polity-

ka inwestycyjna z drugiej strony — oto metody *poprawy losu mas społecznych,* która w naszych „bandosowskich" warunkach jest dalszym a tak pełnym wymowy wyznacznikiem.

Wypada jeszcze raz wrócić do momentów natury geo-politycznej i historycznej. Czynię tak po to, aby zaznaczyć związek pomiędzy naszą polityką gospodarczą a stanem faktycznym, z którego wyłuskuję pewien charakterystyczny szczegół: rolę *inteligencji.* Przez inteligencję rozumem klasę, z kilku kast czy zawodów złożoną; w każdym razie prym wodzą w niej urzędnicy i wojskowi. Ostatnie 20 — 30 lat naszej historji wytworzyło silną liczebnie, a tembardziej ideowo grupę, na której barkach, bagnetach i szablach wkroczyliśmy w Niepodległość. Ta grupa dała Polsce więcej, niż sam trud i krew: dała ona zarazem Jej oblicze ideowe, wyrąbała chodniki i ścieżki, po których pójdziemy. Rola inteligencji, jako klasy, pojętej nawet w sensie gospodarczym, jest i przez czas dłuższy jeszcze będzie bez porównania większa, aniżeli w szeregu państw środka i zachodu Europy. Podobnie (chociaż w szczegółach inaczej) dzieje się w Rosji Sowieckiej i drobnych państwach powojennych. To jest zrozumiałe, ale to ma swoje wyraźne konsekwencje.

Dobiegam końca — i streszczam się. Naszą politykę gospodarczą i, w konsekwencji, naszą myśl ekonomiczną wyznaczają i wyznaczać będą nietyle fakty i zjawiska czysto ekonomiczne, ile momenty poza - gospodarcze, często nawet niewymierzalne, jak zwykle „impondarabilia". Co więcej — w naszych warunkach polityka gospodarcza nie może być celem sama w sobie, lecz musi służyć celom, będącym poza nią. Ma ona być narzędziem w rękach biednego, źle geograficznie usadowionego narodu, którego *ambicje* społeczne i mocarstwowe pchają, bo pchać muszą, do ekspansji, nie przewidzianej w podręcznikach kalkulacji ekonomicznej. Ambicjom tym — zjawisku wychowawczo niesłychanie doniosłemu — sprzyjać musi całokształt myśli i polityki gospodarczej, które muszą się w sobie nieraz przełamać, aby sprostać potrzebom, nie dającym się przeliczyć na złote i procenty od nich. Żyjemy nie po to, aby Polskę wymienić na drobne, lecz by Jej zapewnić, właściwe dojrzałemu narodowi, miejsce wśród narodów świata.

JÓZEF BOROWIK

ŚWIATŁA I CIENIE GDYNI

Możemy wreszcie pozwolić sobie na to, żeby ukazać Gdynię jako zjawisko pełnowartościowe. A więc nie w świetle samych tylko zwycięstw i coraz nowych rekordów, lecz też w świetle poważnych trosk gospodarczych, pewnych ułomności i wewnętrznej jakby rozterki. Dwie dysproporcje przytem wymagają szczególnie troskliwego omówienia: popierwsze — dysproporcja między *ilością przeładunku dokonywanego w porcie gdyńskim — a wartością obrotu towarowego* naszego portu narodowego; druga dysproporcja, bodaj jeszcze bardziej dotkliwa— między względną doskonałością i zasobnością *portu* jako narzędzia technicznego — a *miastem portowem,* jako aparatem gospodarczym dla uprawiania handlu zamorskiego.

Dysproporcja między ilością a wartością obrotów towarowych portu gdyńskiego.

W roku ubiegłym obroty portowe Gdyni wyniosły łącznie z tranzytem i obrotem z Gdańskiem 7,2 milj. ton; gdyby w zjawiskach gospodarczych wszystko się mierzyło tylko masą, tylko wagą — Gdynię należałoby umieścić w rodzinie portów o światowej sławie — wśród sześciu największych portów europejskich, a na czele wszystkich portów bałtyckich. Byłoby to jednak niedocenianiem dysproporcji, między ilością a wartością obrotów w porcie gdyńskim. Operując wielomiljonowemi obrotami wagowemi Gdyni, musimy zawsze zdawać sobie sprawę z tego, że w ostatnich latach 80% — a nie tak dawno (1929 r.) — 92% całości przeładunku przypadało na węgiel. Ten, kto mieszka w Gdyni, nie potrzebuje być ekonomistą i statystykiem, żeby skonstatować, jak głęboko przenika pył węglowy we wszystkie zakątki życia gdyńskiego, zarówno fizycznie jak i gospodarczo. Jest to zresztą odbiciem stosunków panujących w polskim handlu zagranicznym. Stosunki te odzwierciedla następujące zestawienie cyfrowe, porównywujące obroty gdyńskie z całością obrotu polskiego handlu zagranicznego, ze szczególnem uwzględnieniem udziału węgla w tych obrotach.

Lata	Obroty handlu zagran. Polski			Obroty handlu zamorsk. przez Gdynię		
	Ogółem	W tem węgla		Ogółem	W tem węgla	
	w milj. ton		w % do całości	w milj. ton		w % do całości
1929	26,1	13,9	50	2,6	2,4	92
1933	15,3	9,0	60	5,7	4,5	80
1934	17,1	9,8	58	6,7	5,3	80

Należy do tego dodać, że przeszło 300 tys. ton przypada na przeładunek innego małowartościowego towaru — złomu żelaznego. Gdybyśmy więc wyeliminowali z obrotów portu gdyńskiego tylko te dwie pozycje — węgiel i złom — sprowadzilibyśmy obroty portowe Gdyni pod względem ilościowym do bardzo skromnych rozmiarów — 214 tys. ton w 1929 r. i 1 miljon ton w ostatnim roku. Gdynia znalazłaby się wówczas na właściwem miejscu, wśród rodziny prowincjonalnych wielkości. Jednak takie odbronzowanie a raczej odwęglenie Gdyni nie spowodowałoby bynajmniej równie istotnych zmian przy oszacowaniu wartości obrotów. Ta niezmierzona bowiem ilość pracy, połączona z

eksportem węgla, te rekordy przeładunku, te imponujące cyfry ton z sześciu zerami na końcu — wszystko to, gdy sprowadzimy do miernika wartości — staje się bardzo skromnem i zupełnie drugorzędnem. Znajduje to wyraz w 58 milj. zł. wartości węgla wywiezionego przez Gdynię w 1929 r. i w 80 milj. zł. w 1934 r.; jest to w ostatnim wypadku nieco więcej niż 12% ogólnej wartości obrotów handlu zamorskiego przez Gdynię.

Lata	Obroty handlu zagrn. Polski			Obroty handlu zamorsk. przez Gdynię		
	Ogółem	w tem węgiel		Ogółem	w tem węgiel	
	w miljonach zł.		w % do całości	w miljonach zł.		w % do całości
1929	5.924	384.1	6.5	134	58	43.2
1933	1.786	166.6	10.0	536	73	13.6
1934	1.774	157.9	9.0	654	80	12.2

To jest właśnie ta dysproporcja, na którą chcielibyśmy zwrócić uwagę—80% ogólnego przeładunku wagonowego — odpowiada 12% ogólnej wartości towarów; dysproporcja ta sprowadza Gdynię, jako ośrodek handlowy, do roli małego, prowincjonalnego portu angielskiego, poświęcającego swój główny wysiłek techniczny i komunikacyjny przeładunkowi węgla. Dysproporcja ta płynie ze struktury naszego handlu zagranicznego i niepomyślnych przemian, które on przechodził w okresie kryzysu.

Jak to widzimy z przytoczonej wyżej tabelki, obroty naszego handlu zagranicznego kurczą się znacznie prędzej, jeśli chodzi o towary bardziej wartościowe i powolniej w stosunku do węgla, w wyniku czego zwiększa się udział i rola węgla w całości naszej wymiany handlowej z zagranicą. Najbardziej wymownym wskaźnikiem dla oceny, i porównania obrotów handlowych jest przeciętna wartość tony towaru. Korzystając z obliczeń dr-a B. Kasprowicza*) podajemy przeciętną wartość tony towaru w obrotach handlu zagranicznego i w obrotach portowych Gdyni.

LATA	Przeciętna wartość 1 tony towaru w złotych		
	w ogólnym obrocie handlu zagranicznego	w ogólnych obrotach Gdyni	w obrotach Gdyni po wyeliminowaniu węgla i złomu
1929	226,77	51,11	328.40
1930	208,02	70,45	559.46
1931	154,70	76,73	558,23
1932	127,25	71,58	494,98
1933	116,45	94.29	477,97
1934	103,68	97,41	—

W ogólnych obrotach polskiego handlu zagranicznego — w okresie pięciolecia 1929 — 1934 — udział węgla wzrósł ilościowo z 30% na 60%, pod względem wartości wzrósł z 6% na 9%, czyli o połowę, natomiast przeciętna wartość tony towaru spadła blisko o połowę z 226 zł. na 116 zł. Są to — powiedziałbym — swego rodzaju „nożyce węglowe", które podcinają nasze znaczenie w handlu światowym. Węgiel, absorbując nieproporcjonalnie dużo wysiłku i poświęceń w stosunku do uzyskiwanych korzyści gospodarczych, pomniejsza na ogół możliwości naszej ekspansji morskiej, jakkolwiek, nie da się zaprzeczyć, że daje gospodarstwu morskiemu, szczególnie żegludze i portowi, szereg specyficznych korzyści, omówienie których, znajduje się jednak poza tematem obecnych rozważań.

W tych warunkach zatraca się czasem świadomość tego, co jest istotne w obrotach portu gdyńskiego, z czego najbardziej należy się cieszyć, a co przyjmować jako groźne ostrzeżenie. Niewątpliwie jednak — w ogólnem podsumowaniu daje się stwierdzić wyraźną przewagę zysków nad stratami; ale za dominantę stosunków gdyńskich należy uważać nie wzrost małowartościowych obrotów węglem — lecz znacznie szybciej wzrastające obroty wysokocennymi artykułami, w wyniku czego przeciętna wartość tonny towaru w obrotach gdyńskich wzrosła dwukrotnie w okresie, w którym ten sam wskaźnik dla ogólnych obrotów handlu zagranicznego o połowę się skurczył.

Wyrazem bilansu dotychczasowego rozwoju Gdyni jest nie buńczuczna i „mało treściwa" cyfra 7 miljonów ton przeładunku w 1934 r. — lecz raczej kwota 383 milj. zł. przypadająca na skromną liczbę 3/4 miljona ton ogólnego przywozu przez port gdyński w tym samym roku. Ta kwota stanowi blisko połowę (48.2%) całego polskiego przywozu: daje ona pojęcie zarówno o przemianie orjentacji naszego handlu zagranicznego, jak też o pewnem doskonaleniu się aparatu handlowego Gdyni. Jest też jednocześnie smutnem „memento", o skrajnej nędzy polskiego organizmu gospodarczego, która jest najistotniejszą przeszkodą w dalszym rozwoju naszej gospodarki morskiej i na tle której szczególnie ostro zarysowuje się zaznaczona przez nas dysproporcja między sugestywną cyfrą ilości ton, a skromnym wyrazem wartości naszego udziału w handlu zagranicznym.

Dysproporcja między portem a miastem portowem.

Gdynia - port i Gdynia - miasto — rosną stale i szybko, ale miasto i port nie są właściwie sprzęgnięte ze sobą: rozwój ich, zależny od różnych sił i czynników, postępuje w odmiennem tempie, a nieraz i w odmiennym kierunku. Dosyć stwierdzić, że na terenie Gdyni są prowadzone dyskusje na temat, czy *port powinien być częścią* miasta portowego, czemś w rodzaju technicznych urządzeń miejskich do przeładunku towarów, czy też odwrotnie, *miasto jest jakimś dodatkiem do portu narodowego,* obsługującego bezpośrednio Polskę, — i potrzebującego czegoś w rodzaju kolonji mieszkalnej dla biuralistów i robotników, zatrudnionych przy przeładunku.

Łatwo jest prześledzić postęp w rozbudowie portu — do tego służą liczne ogłaszane w najrozma-

*) Rocznik Rady Interesantów Portu w Gdyni, Rok II i III, 1932 — 1933. Gdynia, (str. 143).

itszych publikacjach cyfry odnośnie tonnażu okrętów odwiedzających Gdynię, dokładne dane co do wagi i wartości obrotu towarowego, obliczenia powierzchni składów, metrażu nabrzeży, długości torów kolejowych i stanu innych urządzeń portu, wreszcie budżety urzędów, opiekujących się portem. Znamy je i na ich to podstawie mówimy o stałym wspaniałym rozroście *Gdyni, jako portu.*

Natomiast dane co do *miasta portowego Gdyni* są nadzwyczaj skąpe. Nawet nie wiemy dokładnie, jaka jest ludność miasta Gdyni. Doniedawna wymieniano cyfry od 35 do 60 tys., zależnie od sposobu obliczania i zapatrywania obliczającego. Dopiero od niedawna dzięki ogłoszonemu przez Komisarjat Rządu Gdyni na początku tego roku — pierwszemu oficjalnemu rocznikowi statystycznemu możemy wreszcie zorjentować się nieco dokładniej co do ważniejszych składników gospodarki komunalnej miasta portowego Gdyni, i jej upośledzenia w porównaniu do gospodarki skarbowej w porcie.

Przedewszystkiem uderza nas niewspółmierność między wpływami osiąganemi przez Skarb z tytułu opłat portowych i składowych, jak też z tytułu ceł — a sumami pobieranemi przez tenże Skarb z tytułu podatku dochodowego, opłat za świadectwa przemysłowe i wszelkich innych, które służą jako podstawa dla finansów miejskich. Tam, gdzie poborca opłat styka się z *towarami* przechodzącemi przez Gdynię — mamy grube miljony, grubsze, niż n. p. w którymkolwiek z portów szwedzkich; natomiast tam, gdzie poborca styka się z *ludźmi i przedsiębiorstwami zarobkującemi* na terenie Gdyni — odchodzi niemal z kwitkiem. Przytoczone niżej zestawienia ilustrują te stosunki i dają dużo do myślenia.

LATA	Opłaty portowe i składowe pobierane przez Urząd Morski	Opłaty celne pobrane w porcie gdyńskim	Wpływy Skarbu z tytułu podat. i opłat za świadectwa przem.	Wpływy miasta z tytułu podat. i opłat
	w tysiącach złotych		w tysiącach złotych	
1931/32	3.428	4.807	4.552	2.893
1932/33	4.199	14.946	3.931	2.366
1933/34	4.841	27.699	5.013	3.494

Nawiasem mówiąc — z przytoczonych danych wynika, że opłaty pobierane w porcie gdyńskim są wybitnie fiskalne. Są one przytem znacznie wyższe od opłat pobieranych na północnym brzegu Bałtyku w 3 największych portach Szwecji, z których każdy wykazuje daleko większe obroty, jeżeli porównamy nie towar, lecz wartość obrotów.

Dla porównania podajemy według statystyki szwedzkiej obroty portowe i opłaty w 1932 dla 3 największych portów: Sztockholmu, Göteborgu i Malmö, na które przypada gros szwedzkiego handlu zagranicznego.

PORTY	Obroty w tysiącach ton	Opłaty portowe od statków w tys. złot.	od towarów w tys. złot.
Sztokholm	3.404	699	2.951
Göterborg	3.279	1.381	1.849
Malmö (wraz z okr.)	3.026	875	2.300
Razem	9.609	2.955	7.100

Źródło: Staistisk Årsbok för Sverige 1934 — Stockholm (str. 164).

Należy zaznaczyć, że porty te, jakkolwiek wykazują w powyższem zestawieniu o połowę mniejsze obroty ilościowe w tonach, mają przeciętnie 4-krotnie wyższą przeciętną wartość tonny towaru, a więc dwukrotnie wyższe pod względem wartości obroty towarowe.

Jednocześnie zarysowuje się wyraźne przeciwieństwo między gospodarką portu — która wykazując się takiemi aktywami, jest w stanie zaspokoić z budżetu państwowego wszystkie swoje potrzeby — a gospodarką komunalną — która jest w 50% deficytu i musi czerpać z subwencyj i dotacyj rządowych pokrycie swoich niedoborów, jak to widać z następującego zestawienia:

Lata	Wydatki ogółem	Dochody: Wpływy z pod. i opłat	Subwencje i dotacje	Pożyczki
	w tysiącach złotych			
1931/32	12.995	2.893	611	2.572
1932/33	14.460	2.366	408	9.188
1933/34	22.944	3.494	6.005	13.449

Wysoce nieuregulowane stosunki w gospodarce miejskiej ostatnio zostały uporządkowane przez zaciągnięcie długoterminowej pożyczki w 1934 r. i budżet na rok 1934 — 35 przewiduje wreszcie zrównoważenie wydatków z dochodami, przy udziale jednak dotacji rządowej w sumie 4.845 tys. złotych na ogólną sumę 10.698 tys. wydatków. Budżet ten przewiduje wpływy z podatków samoistnych, z udziału w podatkach państwowych i z tytułu dodatków do podatku państwowego, na łączną kwotę 2 milj. złotych; jest to chyba najsmutniejszą cechą rzeczywistości miasta portowego Gdyni i nie nadaje się wcale do wyrobienia opinji o przodującej roli Gdyni na Bałtyku.

Czem się tłumaczy takie upośledzenie Gdyni?

W innych częściach gdyńskiego rocznika statystycznego znajdujemy odpowiedź na piętrzące się w związku z tem pytania.

W 1933 r. wykupiło w Gdyni świadectwa przemysłowe — 1876 przedsiębiorstw handlowych, przy czem było tylko 73 przedsiębiorstw zatrudnionych w porcie, w tem 60 firm spedytorskich, maklerskich i armatorskich. Najciekawszem jednak w tych stosunkach było to, że na ogólną ilość 1786 przedsiębiorstw znalazło się tylko 10 (słowami dziesięć) firm, (w tem 2 banki, 1 chłodnia portowa i 1 firma spedytorska), które odpowiadają wymaganiom I kategorji. Pouczającem (szczególnie w świetle poprzednich rozważań) będzie porównanie pod

---

¹) „Rocznik Statystyczny „Gdyni" 1933 — 1934", pod redakcją Bolesława Polkowskiego, Gdynia, 1934. Str. 114.

tym względem Gdyni z Hamburgiem, który miał w 1934 r. obrót w tonnach tylko 2 1/2 razy większy (19,5 milj. ton.) — natomiast przedsiębiorstw w porcie liczył 12.500. zatrudniających 180 tys. robotników.

W ciągu ostatnich 3 lat ludność miasta portowego zwiększyła się z 36 tys. na 50 tys., a obecnie, po wchłonięciu przez miasto wszystkich okolicznych gmin, zapewne wynosi 60 tys. Natomiast płatników podatku dochodowego, wyłączając urzędników i biuralistów miała Gdynia w 1933 r. niecałe 2.000, których dochód obliczono na 17,8 milj. złotych, przyczem ściągnięto podatku dochodowego z tej „śmietanki" miasta portowego — mniej, niż 1 miljon zł. (958 tys.) — dla porównania należy dodać, że podatek dochodowy, pobrany z uposażeń służbowych, osób, zatrudnionych w biurach prywatnych (3.330 płatników) wyniósł w tym samym roku 736 tys. zł.

Inaczej mówiąc — miasto portowe Gdynia — jest miastem urzędników i biuralistów, opiekujących się przeładunkiem towarów, które są zakupywane i sprzedawane przez osoby i instytucje, mające swoją siedzibę poza Gdynią. Miasto portowe Gdynia jest pozbawione ośrodków dyspozycji handlowej: Gdynia jest przedewszystkiem przystanią przeładunkową, a nie ośrodkiem handlu zamorskiego, — portem narodowym w pełnem zrozumieniu tego słowa.

Dużo na ten temat mówi się i pisze, szczególnie w związku z akcentowaniem roli inicjatywy prywatnej w rozbudowie aparatu handlowego Gdyni. Ukuto nawet określenie „Gdynia — szczęśliwa wysepka liberalizmu", a ze strony resortu, patronującego sprawom morskim, słyszeliśmy nieraz wyrazy zachęty do tworzenia przedsiębiorstw prywatnych w Gdyni, jak też zapowiedzi stworzenia szczególnych warunków dla kapitalizacji na tym terenie. Nie wchodzimy w teoretyczne rozważania na temat możliwości utrzymywania oazy dobrobytu wśród jałowych piasków ogólnego zastoju i niedostatku oraz skuteczność dwutorowej polityki gospodarczej jednej dla zaplecza, drugiej dla portu. Natomiast na podstawie przytoczonych przez nas danych wydaje się bardziej celowym wręcz odwrotny kierunek wyrównywania zaobserwowanych dysproporcyj.

Z chwilą, gdy nie można i z różnych względów nawet nie należy myśleć o autonomicznym ustroju portu jako przedsiębiorstwa prywatnego — niema też celu oczekiwać dopływu kapitału prywatnego do wielkich przedsięwzięć handlowych — tak bardzo potrzebnych miastu portowemu Gdyni. Należy stworzyć na początek jedną, dwie duże kompanje dla handlu zamorskiego, z kapitałem kontrolowanym przez banki państwowe, na wzór Chłodni, Pagedu i Żeglugi Polskiej i rozpocząć planową ekspansję morską w kilku umiejętnie wybranych kierunkach.

Jeżeli w okresie największego szacunku do inicjatywy prywatnej — wówczas, gdy nie istniało nawet pojęcie o etatyzmie i planowej gospodarce— ekspansja morska wszystkich krajów — Anglji, Francji, ongiś Hiszpanji, a ostatnio Niemiec — inicjowana była najczęściej przez czynnik publiczny — taka właśnie była historja większości „kompanji"—nie widzę, dlaczego dziś miałoby być inaczej— właśnie w okresie najmniejszej pewności dla prywatnego zysku i największego ubóstwa w Polsce w kapitał prywatny. Jest to odrębny i obszerny temat, którego poruszenia wymagają obie dysproporcje, dające się obserwować w Gdyni.

UWAGI

ROZWAŻANIA O PLANOWANIU

Przed paru laty był to ryzykowny temat. Ściągał na siebie gromy lub litościwe uśmiechy pobłażania ze strony uczonych w piśmie, a w szerokiej opinji kojarzył się z „piatiletką", a więc z bolszewizmem. Dziś sytuacja uległa daleko idącej zmianie. Przyczynił się do tego postęp autarkizacji niektórych krajów, rozrost reglamentacji stosunków gospodarczych z zagranicą, oraz podjęcie prób planowej gospodarki w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Temat gospodarki planowej stał się przedmiotem zainteresowań — coprawda niezawsze życzliwych — ludzi, myślących trzeźwo i praktycznie. Okoliczność ta pozwala mi przystąpić do poniższych rozważań bez wstępu, uzasadniającego czy to możliwość czy celowość samej idei planowania, opieram się bowiem na realnym fakcie istnienia już nie samej tylko idei, ale zupełnie rzeczywistej, realnej gospodarki, lepiej lub gorzej udanej.

Plan gospodarczy suponuje istnienie celu dalszego, o charakterze raczej poza gospodarczym i składa się z szeregu zadań o charakterze gospodarczym. Zarówno wybór celu odleglejszego, jak i ustalenie bezpośrednich zadań gospodarczych, musi wynikać z objektywnie istniejących warunków geograficznych, gospodarczych, socjalnych i politycznych—inaczej byłyby raczej tworem wyobraźni, aniżeli rezultatem konsekwentnej akcji planowej. Innemi słowy, wytyczenie planu wymaga dobrej znajomości rzeczywistości. Ponieważ zaś warunki objektywne każdego kraju są odmienne, naśladowanie cudzych pomysłów i metod planowania jest niewskazane, no i praktycznie niemożliwe.

Weźmy dla przykładu ZSRR. i USA. Między temi krajami zachodzą pewne analogje, zaczynające się od używania skrótów literowych swej pełnej nazwy. Oba kraje zajmują wielką przestrzeń i posiadają wielkie bogactwa naturalne, pozwalające im na dużą samodzielność gospodarczą, a co za tem idzie, na samodzielną, nie liczącą się zbytnio z resztą świata, politykę gospodarczą. W obu krajach ludzie lubią rozmach, ubóstwiają technikę, mechanizację, standaryzację, itp. Lecz tu się kończą analogje. Rosja była i jest, jeśli chodzi o strukturę ludnościową, krajem rolniczym. Zrobione ostatnio postępy uprzemysłowienia przy jednoczesnym spadku produkcji rolniczej, sprawiły, że stosunek dochodu od rolnictwa i od przemysłu kształtuje się odwrotnie proporcjonalnie do ilości ludności miejskiej i wiejskiej, a mianowicie jak 3 : 1.

Zadaniem gospodarki sowieckiej było uprzemysłowienie kraju i przesunięcie znacznej części ludności z wsi do miast, przyczem zadanie to trzeba było wykonywać w warunkach braku płynnych kapitałów pieniężnych i rezerw dóbr materjalnych. Zadanie sowieckie miało być zatem czysto gospodarcze i jego wykonanie miało być podstawą do przebudowy ustroju socjalno - politycznego. Jeżeli chodzi o poszczególne, odcinkowe zadania, to natłok problemów był tak wielki, że ustalenie hierarchji i kolejności zadań przedstawiało kolosalną trudność. Pytania konkretne były: w którem miejscu jaką fabrykę budować najpierw; wątpliwości zaś, co wogóle budować, a czego wcale nie budować, niemal nie istniały. trudności wynikłe z braku płynnych kapitałów rozwiązano częściowo inflacją, a częściowo zorganizowaniem planowego obiegu dóbr in natura. Zagadnienie bezrobocia, jako zjawiska, według którego byłyby orjentowane plany gospodarcze, np. inwestycje w okręgach o dużej ilości bezrobotnych, również nie istniało. Bezrobocie strukturalne, wynikłe z przemian społecznych, zostało zlikwidowane na marginesie wykonywania planu uprzemysłowienia.

W Stanach Zjednoczonych sytuacja była niemal na 180° odwrotna. Kraj jest wybitnie przeinwestowany i posiadał spore rezerwy wolnych kapitałów, użytkowanych dla spekulacji. Kryzys wywołał kolosalne bezrobocie, wnosząc tem samem zakłócenia w rozdziale dochodu społecznego. Zagadnieniem sowieckiem było co i jak produkować. W USA. zagadnienie produkcji nie wzbudzało żadnych trudności — było już dawno rozwiązane w 100 proc. Dziś chodzi o to, jak dzielić. Planowość amerykańska zwrócona jest więc w kierunku zagadnienia właściwego podziału dochodu społecznego, chce przez ten właściwy podział spowodować ożywienie produkcji. Właściwy podział dóbr — to jest przedewszystkiem danie pracy bezrobotnym i ogólne podwyższenie udziału w dochodzie społecznym warstw zarobkujących. Jako środki ku temu miały służyć kodeksy pracy, regulujące zagadnienie czasu pracy, oraz płac. A pozatem hojną ręką dawane kredyty na roboty publiczne. Roboty publiczne, to znaczy inwestycje. Ale tu, wobec przeinwestowania kraju i nierentowności warsztatów powstaje kapitalne zagadnienie—w co inwestować, jakie nowe bogactwa tworzyć. Przecież istniejące fabryki stoją bezczynne, a koleje nie mają ładunków. Wybór celów bezpośredniego działania okazał się niesłychanie trudny. Podjęto np. zalesianie nieużytków—sprawa bardzo doniosła dla USA. na dłuższą metę. Ale zalesianie nie stwarza obrotu kapitałów. Pieniądze się wyda i las będzie rósł kilkadziesiąt lat. Nie stwarza się przytem popytu na materjały i narzędzia pracy, decydujące o rozszerzeniu rynku. Wzrasta tylko popyt konsumcyjny, co jest również pożądane, ale niewystarczające. Pozatem akcja zalesiania wymaga przesuwania mas ludzkich z miast do wsi, jest znacznie trudniejsze, niżeli proces odwrotny, napotyka bowiem na opory materjalne i psychologiczne.

Albo weźmy taki przykład. W ZSRR dążono do zwiększenia przestrzeni uprawnej, a w stanach wschodnich Ameryki Północnej postanowiono zalesić ziemie uprawne a farmerów przenieść na zachód.

Słowem, plan sowiecki wynikł z niedostatecznej produkcji, i głowił się nad tem, jak ją w przyszłości powiększyć, a tymczasem jak tę małą ilość dóbr dzielić nie tamując postępu gospodarczego — podczas, gdy Roosevelt stoi wobec sytuacji, iż musi dzielić nadmiar produkcji w braku siły nabywczej ogromnej części ludności.

Jeszcze inaczej przedstawia się sprawa w Niemczech i we Włoszech. W tych krajach podstawową cechą struktury gospodarczej jest przeludnienie i brak bogactw naturalnych, a warunki geo - polityczne wymagają uwzględnienia w szerokim zakresie wymagań wojenno - gospodarczych. Rosja nie miała objektywnego przymusu przeprowadzenia uprzemysłowienia, bo za płody rolne mogła kupować wyroby przemysłowe zagranicą, a dla przyrostu naturalnego istniały wielkie wolne tereny. Włochy i Niemcy musiały rozwijać przemysł, by dać środki utrzymania ludności. Dla Rosji uprzemysłowienie było wymogiem politycznym, dla Niemiec i Włoch biologicznym.

Pod znakiem wymogów biologicznych stoi w tych krajach również kwestja agrarna, w przeciwieństwie do USA., gdzie kwestja rolna jest kwestją zbytu nadmiarów. Bezrobocie istnieje, podobnie jak w USA., ale niema żadnej, teoretycznej nawet możliwości skierowania go do pracy poza ośrodkami przemysłowemi bo niema wolnych terenów. Sytuacja Niemiec i Włoch jest więc trudniejsza materjalnie i technicznie niż ZSRR., a taktycznie — niż USA.

Planowanie gospodarcze nie może więc być jednakowem w tych krajach, nie może posługiwać się jednakowemi metodami, a nawet, być może, jednakowemi doktrynami socjalno - politycznemi. wydaje się, że dla przezwyciężenia niemieckich trudności gospodarczych potrzebne jest właśnie państwo totalne i wnikanie we wszelkie szczegóły organizacyjne. Ustrój prezydencki w Stanach Zjednoczonych zapewnia możliwość planowania bez przewrotu politycznego, ale chyba nie bez zmiany konstytucji; Sowiety znalazły właściwe dla siebie formy i metody działania i dzisiaj bodaj sam Stalin uważa że te formy i metody są tylko dla Sowietów właściwe.

Różnorodność warunków, zadań i okoliczności stawiających na porządku dziennym zagadnienie planowania życia gospodarczego ,nie dopuszcza więc żadnych w tym względzie szablonów. Nie wyklucza to oczywiście użyteczności badania i obserwowania prób, metod i wyników Tem niemniej, trzeba pro domo sua powiedzieć, że żadna obserwacja nigdy nie wykluczy konieczności własnych prób i eksperymentów, nieraz ryzykownych, ale koniecznych, gdyż nie ma dwóch krajów o jednakowych warunkach gospodarczych, socjalnych, geo - politycznych i kulturalnych, co jedynie umożliwiałoby przejęcie bez ryzyka cudzych doświadczeń.

Z. Szempliński.

DOWÓD UZDOLNIENIA

Dowodem uzdolnienia jest — w myśl ustawy przemysłowej — dowód uzdolnienia zawodowego do samoistnego prowadzenia rzemiosła. Kto posiada tytuł mistrza albo świadectwo nauki (terminu), zakończonej zdaniem egzaminu czeladniczego i uzupełnionej conajmniej 3-letnią pracą w charakterze czeladnika, ten może dostać kartę rzemieślniczą, gdyż jest „uzdolniony". W wyjątkowych, a przez ustawę przemysłową dwuznacznie ujętych wypadkach powyższe dokumenty można zastąpić każdym „innym wystarczającym sposobem" (np. wieloletnią pracą samodzielną bez normalnych egzaminów). W ten sposób ustawa przemysłowa uczyniła z dowodu uzdolnienia kamień węgielny systemu rzemieślniczego.

Wmurowując taki kamień, trzeba wiedzieć, poco to się zrobiło. Można, coprawda, na takie pytanie odpowiedzieć drugiem pytaniem: Czy nie ma pan większego zmartwienia? — Przecież ustawa przemysłowa z dowodem uzdolnienia panuje nam, chwała Bogu, blisko 8 lat, przecież przed 1½ rokiem sejm, nowelizując tę ustawę, ani się nie zająknął, żeby dowód uzdolnienia podważyć czy lekko skrytykować, więc z jakiej racji powstaje teraz kwestja poprostu nieistniejąca...

Słusznie, ale nikt nie zaprzeczy, iż milczenie sejmu w marcu ub. r. wiąże usta opinji publicznej w sierpniu b. r. Te 1 ½roku, które mamy za sobą, daje dużo nowego, interesującego materjału, a pochodzi on jedynie z praktyki rzemieślniczej. Praktyka ta zaś stwierdza, że z każdym dniem rośnie na rzemiosło nacisk mas od dołu, że „szary człowiek", który stoi za drzwiami innego „szarego człowieka", pragnie (i ma prawo) dostać się do izby i że temu jego prawu (moralnemu czy społecznemu) stoi na przeszkodzie prawo pisane, ustawa przemysłowa.

Dowody? — Oto one:

Tempo egzaminów czeladniczych i mistrzowskich jest b. powolne; nie omylimy się, oceniając optymalnie przyrost zeszłoroczny czeladników na 12.000, mistrzów na 3.000, co w sumie daje 15.000 normalnych dowodów uzdolnienia czyli 4,5% ogólnej ilości t. zw. legalnych rzemieślników. Ponieważ rzemieślnicy, jak wszyscy ludzie, umierają, naturalny przyrost jest w rzemiośle niewielki, żeby nie powiedzieć: niedostateczny. Jednocześnie zalegalizowano kilkanaście tysięcy warsztatów „nielegalnych" na zasadzie t. zw. dyspensy i potwierdzenia t. zw. praw nabytych. To pozornie ratuje sytuację, jednak de facto: 1) jest to zjawisko przejściowe i nienormalne, a 2) zjawisku temu sami rzemieślnicy zarzucają, że konkuruje ono z właściwym systemem (t. j. gdzie uczeń stopniowo przekształca się w czeladnika i w majstra).

Ale gdy minie fala „legalizacji przeszłości", gdy izby rzemieślnicze skończą wreszcie z „dyspensami" i prawami nabytemi, to rzemiosło stanie przed faktem... braku rzemieślników. Dlaczego? — Dlatego, że ilość czeladników i uczniów jest niewystarczająca, że te dwie grupy, na których opiera się przyszłość rzemiosła, są w odwrocie. Świadczy o tem fakt, że z końcem 1933 r. na obszarze 12 izb (dla pozostałych brak danych), liczono 173.000 rzemieślników samoistnych czyli właścicieli wobec 36.000 czeladników i 37.000 uczniów, czyli 100.000 warsztatów opierało się wyłącznie na pracy ich właścicieli. Zauważyć przytem należy, iż gdybyśmy odjęli 3 izby b. zaboru pruskiego, gdzie w 44.000 warsztatów znajdowało się wówczas 18.000 czeladników i 19.000 uczniów, to dla pozostałych dwuch dzielnic otrzymalibyśmy stosunek 129.000 warsztatów wobec 18.000 czeladników i tyluż uczniów, a zatem proporcjonalnie trzykrotnie mniej.

Kurczenie się rzemieślniczego „narybku" płynie z kryzysu, który zmusza mistrzów do posługiwania się własnemi tylko palcami lub t. zw. pomocą (6 izb—łącznie z poznańską i śląską — w 1933 r. zarejestrowało 24.615 pomocników na 36.221 czeladników i uczniów), ze znowelizowanej w r. z. ustawy przemysłowej, która zabroniła mistrzom pobierania opłat od uczniów, a wreszcie z małej atrakcyjności tytułu mistrzowskiego.

Istotnie, tytuł i stanowisko mistrza nie jest dzisiaj atrakcyjne ani dla rzemieślnika, ani dla konsumenta. To, że dany rzemieślnik jest mistrzem, a nie „zwyczajnym" rzemieślnikiem, jak równolegle to, że ktoś wykonywa rzemiosło legalnie, a nie bez karty rzemieślniczej — nie gra żadnej roli, ściślej — nie gra odpowiednio doniosłej roli w całokształcie produkcji i zbytu rzemiosła. Spożywca orjentuje się według przydatności, sprawności, punktualności itp. rzemieślnika, interesuje się jakością i ceną wyrobu lub usługi, ale nie zagląda do mieszkania krawca czy szewca, gdzie na honorowem miejscu wisi (lub wisieć powinna) karta rzemieślnicza lub dyplom mistrzowski. Niewątpliwie, mistrz zna się lepiej na rzeczy, niż jego czeladnik, ale czy zwyczajny posiadacz karty rzemieślniczej jest zawsze gorszy od mistrza — to jeszcze pytanie. A zresztą, czy tytuł mistrza i karta rzemieślnicza (w sumie — dowód uzdolnienia) zabezpieczają spożywcę od szkód i strat, na jakie jest narażony z przyczyn, których posiadanie dowodu uzdolnienia zupełnie nie przewiduje (np. niepunktualność, danie gorszego surowca itp.)?...

Polska ustawa przemysłowa zna dowód uzdolnienia dla dwuch tylko kategoryj wytwórców: dla 300.000 zgórą rzemieślników i dla kilkuset (jeżeli nie liczyć pokrewnych rzemiosłu kominiarzy) przedsiębiorstw koncesjonowanych, których prowadzenie wymaga wykazania się „odpowiednią umiejętnością zawodową". Koncesjonowanie niektórych gałęzi przemysłu ma, jak wiemy, na celu pewne szczególne sytuacje bezpieczeństwa publicznego — i nic więcej. Słuszne jest również, by fryzjer przestrzegał przepisów o higienie swego zakładu (moment zdrowia publicznego), by cieśla i mularz miał prawo budować jedynie wówczas, gdy władze budowlane będą pewne, że te budowle, nie zwalą się na głowę (moment bezpieczeństwa) by piekarz nie pakował sznurka i gwoździ do pieczywa, a rzeźnik nie sprzedawał mięsa zdechłej krowy — ale to wszystko nie ma nic wspólnego z koncesjonowaniem via dowód uzdolnienia. O uzdolnieniu fryzjera, piekarza i rzeźnika, o fachowości introligatora, czapnika lub szmuklera nie potrzebuje rozstrzygać władza publiczna w imieniu zatrwożonego społeczeństwa.

Powoływanie się na fachowe przygotowanie rzemiosła — i to wówczas, gdy (poza dzielnicą pruską) ilość czeladników i uczniów maleje, a starych rzemieślników nie przeszkala się w dostateczny sposób — jest tylko zaciemnianiem sytuacji. Dowód uzdolnienia ma bronić — jak w średniowieczu — rzemiosło przed pauperyzacją, t. zn. przed zbyt intensywnym dopływem nowych kadr rzemieślniczych. Cała bieda w tem, że w XX stuleciu nie można podnieść wrzeciądzy: nielegalne rzemiosło będzie istniało i będzie istniała rzemieślnicza armja rezerwowa. Konkurencja „szarego człowieka“ z człowiekiem „czarnym“ bynajmniej przez to nie osłabnie. Dowód uzdolnienia stwarza tę samą fikcję, co łapanie przez policję „nielegalnych“ sprzedawców owoców, jarzyn i kwiatów. Jednocześnie przysłania on rzemiosłu właściwy kierunek: modernizację metod produkcji i zbytu.

j. gozd.

ŚMIAŁA TEZA

Ze śmiałemi i dość niespodziewanemi tezami wystąpił na łamach „Polski Gospodarczej“ (Nr. 24 z dnia 15. VI. b. r.) p. Dr. Roman Piotrowski w artykule p. t. „Branżowe zrzeszenia przemysłowe a kartele“. Twierdzi mianowicie Szanowny Autor, kierownik Biura Kartelowego Ministerstwa Przemysłu i Handlu, iż zrzeszenia przemysłowe, powstające na tle przepisów art. 69 i nast. prawa przemysłowego nie podlegają postanowieniom ustawy kartelowej. Wysuwa nadto Dr. Piotrowski dalej jeszcze idące wątpliwości, a mianowicie, czy wedle logicznej — zdaniem autora — interpretacji nie powinno się przyjąć, iż kartele powstawać mogą obecnie właściwie tylko w uwzględnieniu przepisów prawa przemysłowego. Autor opowiada się zresztą — narazie, do czasu nowelizacji art. 69 prawa przemysłowego — za interpretacją „życiową“, t. zn. za dopuszczeniem do powstawania karteli w dowolnej formie.

Twierdzenia te wymagają omówienia, gdyż, gdyby im przyznać rację stanowiłyby one przewrót w praktyce codziennej życia kartelowego i zrzeszeniowego, a ponadto zazębiają się one wręcz o podstawowe zagadnienia ustrojowe, na odcinku nietylko w Polsce, ale i w całej Europie, a i poza jej granicami nader aktualnym. Wreszcie i wysoka osobista kompetencja Szanownego Autora w dziedzinie prawa kartelowego skłania do zainteresowania się Jego poglądami w tej mierze.

Bieg rozumowania Dr. Piotrowskiego, który doprowadza do tych rewelacyjnych wniosków można streścić następująco:

Nowela do prawa przemysłowego z 10. III. 1934 r. uchyliła przewidziane dotychczas korporacje przemysłowe, mające charakter organizacyj stanowo - cechowych, natomiast wprowadziła zrzeszenia o celach ściśle gospodarczej natury. Cele te mimo ich taksatycznego wyliczenia w ustawie są tak obszerne, że każda działalność gospodarcza, a zatem i kartelowa może się w nich pomieścić. Ponieważ zaś wedle prawa przemysłowego zrzeszenia przemysłowe są wyłączną i jedyną dopuszczalną formą organizacyjną przemysłowców — stąd wniosek, iż... kartele mogą powstawać wyłącznie w formie zrzeszeń przemysłowych. Pozatem wywodzi Autor, iż skoro art. 16 ustawy kartelowej przewiduje, iż przepisów ustawy kartelowej nie należy stosować do „zrzeszeń przedsiębiorców powstałych na podstawie przepisów specjalnych“ przeto kartele tworzone na podstawie przepisów prawa przemysłowego nie podlegają ustawie kartelowej.

Niewątpliwie nadaje się do dyskusji kwestja, czy zrzeszenia prawa przemysłowego mogą przejawiać działalność o charakterze kartelowym. Odpowiedź na to pytanie zależeć będzie — *teoretycznie* od tego, jaki charakter im przyznamy, czy ściśle i wyłącznie zawodowy — w dawnem zrozumieniu — czy też szerszy, ogólno - gospodarczy, *praktycznie* zaś od tego — jakie ramy działalności zrzeszeń zakreśli polityka przemysłowa Ministra Przemysłu i Handlu, jako decydującego ostatecznie o treści statutów tych zrzeszeń, oraz jakie stanowisko zajmie tu czynnik opinjodawczy — izby przemysłowo - handlowe.

Osobiście, po przejściu pewnej ewolucji poglądów w tej mierze, godziłbym się teoretycznie z uznaniem dopuszczalności celów kartelowych w działalności zrzeszeń, zalecając równocześnie w praktyce — z punktu widzenia polityki przemysłowej — jaknajwiększą oględność w folgowaniu dążeniom do nadużywania tej ponętnej — jak praktyka ostatniego roku wykazuje — dla zwolenników jawnej, a częściej ukrytej kartelizacji formy.

Co do kwestji, czy zrzeszenia te mają podlegać ustawie kartelowej—to choć przyznaję bardzo wiele racji przekonywującym wywodom Dr. Piotrowskiego na temat dwutorowości, jakaby się wytworzyła, wobec tego, że niezależnie od ogólnego ostrzejszego nadzoru Ministra Przemysłu i Handlu, zrzeszenia te podlegałyby właśnie w tej dziedzinie swej działalności, w której wykazywałyby cele katrelowe, łagodniejszym formom ingerencji przewidzianej w prawie kartelowem—to jednak nie sądzę, aby ostatnie słowo w tej dyskusji już zostało wypowiedziane i mniemam, że dyskusja na ten temat jeszcze się potoczy.

Tutaj zająć się pragnę najdalej idącą tezą, jaką — z zastrzeżeniami co do praktycznego zastosowania — wysunął Dr. Piotrowski, a mianowicie tezą, iż tworzenie karteli dla typowych dla nich celów, pokrywających się z celami określonemi w art. 69 prawa przemysłowego miałoby być prawnie niedopuszczalne w innej formie, niż w formie zrzeszeń przemysłowych. Nie podzielam wątpliwości p. Dr. Piotrowskiego, który wypowiada pogląd, iż taka wykładnia byłaby gramatycznie i logicznie usprawiedliwioną.

Nie chcę posługiwać się tu metodą ciasnej gramatycznej interpretacji, która zresztą też doprowadziłaby mnie do wyników, o których dalej mowa.

Wyjść pragnę z założenia zasady wolności umów, jaka przyświeca naszemu porządkowi prawnemu. Polska ustawa kartelowa zasady tej nie obala, a jedynie wprowadza pewne jej ograniczenia, uznając za nieważne umowy kartelowe ustne, a nakazując — w interesie publicznym — rejestrację umów pisemnych. Wymaganie dalszego, bardzo daleko idącego ograniczenia swobody kontrakto-

wej w postaci narzucania kartelom formy zrzeszeń przemysłowych jako jedynie dopuszczalnej — byłoby sprzeczne z zasadą wolności umów i mogłoby się opierać tylko na wyraźnym przepisie ustawy kartelowej, a nie przemysłowej.

Pomijam argument, iż wg. podstawowych reguł interpretacyjnych postanowienie stanowiące wyjątek od zasady, należy interpretować ściśle, a nie rozszerzająco. Pomijam okoliczność, iż tego rodzaju interpretacja stanowiłaby niewątpliwie niespodziankę dla autorów obu ustaw — kartelowej i przemysłowej i nie odpowiada ich intencjom, na innem miejscu przyznałem bowiem, iż interpretacja woli ustawodawcy nie gra roli przy dzisiejszej technice kodyfikacyjnej kiedyto indywidualność „ustawodawcy" zupełnie się gubi, a więc i jego „wola" trudna jest do późniejszego stwierdzenia. Wskażę tylko na parę niekonsekwencyj i nielogiczności, jakie z takiej tezy płynęłyby.

Przyjmijmy na chwilę, że istotnie przemysłowcy mogą tworzyć kartele tylko w formie zrzeszeń przemysłowych. Jacy przemysłowcy byliby dotknięci tem ograniczeniem? Oczywiście tylko ci, którzy podlegają prawu przemysłowemu. Prawu przemysłowemu nie podlega zaś długi szereg przemysłów z górnictwem na czele; a więc niektóre przemysły miałyby się zrzeszać wyłącznie na zasadzie prawa przemysłowego, a inne w formach dowolnych?

W ujęciu art. 1 naszej ustawy kartelowej każda umowa zawierająca wzajemne zobowiązania w sprawie produkcji, zbytu i t. d., bez względu na jej wagę i możność wywierania wpływu na rynek jest uważana za kartelową; w konsekwencji poprzednio wyłuszczonej „gramatycznie i logicznie — jak powiada Dr. Piotrowski — usprawiedliwionej" wykładni — dla zawarcia, choćby doraźnej umowy o celach gospodarczych, które dałyby się łatwo pomieścić w luźnych i niesprecyzowanych granicach art. 69 prawa przemysłowego — trzebaby puszczać w ruch cały skomplikowany aparat przepisów prawa przemysłowego o zrzeszeniach przemysłowych: statut, jego zatwierdzenie przez Ministra, opinjowanie przez izby przemysłowo - handlowe i t. d.

Nie chciałbym, aby ktokolwiek uważał uwagi dr. Piotrowskiego, jako pochodzące z pod pióra tak kompetentnego, za balonik próbny nowelizacji prawa przemysłowego w omawianym duchu. Jeśliby zaś to miał być taki balonik, trzeba go czemprędzej przekłuć, a jeśli z ziarnka rzuconego miałby wyróść jaki chwaścik — trzeba go wypleć, zanim wyrósłszy przyciemni nam pogląd na należyte formy organizacyjne życia gospodarczego w Polsce.

Bo — szczerze się przyznam — do postanowień naszego prawa przemysłowego przykładam osobiście znacznie większą wagę i łączę z niemi szersze nadzieje. Zrzeszeń prawa przemysłowego nie traktuję jako domniemanej formy nowej reglamentacji kartelowej. Mojem zdaniem byłoby to ścieśnienie ewolucyjnego zakresu możliwości tkwiących w tych niedość jeszcze ożywionych, bo młodziutkich przepisach.

Wbrew tezie p. D-ra Piotrowskiego, który traktuje nowe zrzeszenia prawa przemysłowego, jako przeciwstawienie dotychczasowych korporacyjno - stanowych form — ja uważam je jako ulepszenie form dotychczasowych, właśnie w duchu zawodowym (stanowym).

Niewątpliwie doba bieżąca stawia przed nami jako jedno z zadań dnia — organizację społeczeństwa. Co więcej, zanik niektórych politycznych form organizacji społeczeństwa (partje polityczne), przy równoczesnem uznaniu konieczności zbiorowego podejmowania różnych wysiłków, wręcz nasuwa nam obowiązek poszukiwania nowych form organizacji zbiorowej. Wielu wyznawców światopoglądów uniwersalistycznych, którzy z natury rzeczy poszukują takich form organizacyjnych, u nas i zagranicą, widzi w stanowej organizacji społeczeństwa rozwiązanie tego problemu. Niektóre państwa specjalnie hołdują tej tezie, realizując ją mniej lub więcej udatnie.

Polska, która zerwała z zasadą przejmowania form obcych, lecz we własnym twórczym wysiłku, szuka rozwiązań godnych wielkiego i konstruktywnie uzdolnionego narodu, będzie miała niewątpliwie wiele do powiedzenia i na tym odcinku zagadnień ustrojowych, tak jak ma wiele do powiedzenia w poszukiwaniu nowych form organizacji władz państwa.

Przepisy nowego prawa przemysłowego chciałbym traktować jako punkt wyjścia dla poszukiwania nowych form organizacji zawodowej społeczeństwa, narazie na najbardziej do tego nadającym się odcinku zrzeszeń przemysłowców. Niewątpliwie dla takiego ujęcia, o szerszym oddechu, dawne przepisy prawa przemysłowego o korporacjach były zbyt ciasne. Oczywiście, że nasze poglądy na temat zadań organizacji zawodowej przemysłu tej, czy innej gałęzi odbiegły daleko od średniowiecznych formuł cechowych. Ale punkt wyjścia wspólności interesów branżowych jest ten sam, a tylko arsenał środków i zasięg terytorjalny — nieporównanie szerszy.

Tak rozumiem rolę i przyszłość zrzeszeń przemysłowych i dlatego obawiałbym się ścieśnienia jej... tylko do roli nowej formy kartelowej.

Juljusz Braun.

LOJALNA DYSKUSJA

Lojalna dyskusja ma tę wyższość nad polemiką ad personam, że nie idzie w niej o to kto ma rację, ale o to jak wygląda racja, której obaj dyskutujący szukają. To też jeśli obie strony szczerze i rzetelnie tej racji szukają, może ona wyjaśnić i wyświetlić wiele zagadnień, rozmaicie dotychczas traktowanych.

W uwadze p. t. „Społeczno - gospodarcze perspektywy mocarstwowości" w Nr. 14 Gospodarki Narodowej z dn. 15. 7 1935 r., pan h. dr. precyzuje to, czego w obu moich artykułach „Enrichissez vous" i „Tłomaczenie" (Nr. 12 i 14 Gospodarki Narodowej) nie pomieściłem, względnie zbija częściowo moje wywody. Zwęża on granice wolnej gry automatyzmu ekonomicznego.

Ze wspomnianej uwagi widać jak wąską ście-

żyną co wije się wstęgą między Scyllą przeludnienia kraju a Charybdą upadku jego mocarstwowego znaczenia musi wolny najmita w Polsce przeciskać się do względnego dobrobytu.

Otóż pomijając zagadnienie paljatywu, jakim jest reforma rolna — bo to oddzielna sprawa—głoszona przez p. h. dr. przebudowa życia przemysłowego Polski na drobne rękodzielnicze warsztaty, t. zn. ta droga, która nam jedynie pozostaje dla rozbudowy zdrowej ludności w Polsce, jest ograniczona i to dość wyraźnie względami techniczno-produkcyjnemi.

Mielibyśmy więc po tej przebudowie, jaką p. h. dr. propaguje rozbicie na a) formację drobnowłościańską, b) niedobitki wielkiej własności ziemskiej z dobrami państwowemi i lasami włącznie, c) rzemiosło i drobny przemysł oraz d) w formie późnokapitalistycznej te warsztaty, które nie dają się rozdrobnić, ze względów technicznych.

Owa grupa d) rozbija się na 1) monopole faktyczne, 2) przeliczalne grupy wytwórców które mogą być względnie łatwo łączone w syndykaty.

Nie trzeba zapewne długich uzasadnień, aby wyjaśnić, że polityka której celem jest dobrobyt, a więc nie nominalny a realny przyrost wartości w obiegu, a jednocześnie możliwie szeroki rozlew tego przyrostu na całą ludność, że polityka taka musi się inaczej ustosunkować do grupy c) inaczej do d1), inaczej do d2). W pierwszym wypadku mamy, równie jak w grupach a) i b) do czynienia z nieograniczoną konkurencją, w drugim z brakiem konkurencji, w trzecim z konkurencją ograniczoną.

Założeniem naszem jest wzrost wartości realnych w obiegu, a więc najniższe ceny sprzedażne. Te są we wszystkich 3-ch wypadkach do osiągnięcia najlepiej przy braku podatkowych obciążeń na jednostkę wagi lub ceny towaru lub usług produkowanych. Jeżeli jednak idzie o inne opłaty, to stanowisko wobec rozmaitych grup musi być rozmaite:

W grupie a) i c) opłaty od warsztatu podrażają produkt, w grupie d1) opłaty od warsztatu i dochodu nie podrażają produktu, a zmiejszają dochód monopolisty. W grupie d2) stosunki są bardziej skomplikowane.

Powyższe wywody są jedynie ilustracją zróżniczkowania w pewnym wypadku działalności państwa w zależności od formacji gospodarczej z którą się ma do czynienia.— Niezależnie od tego należałoby się zapytać czy formacja d) jest do wyeliminowania w Polsce.

Mojem zdaniem, jeżeli Państwo z podatkowych pieniędzy buduje instalację, potrzebną mu z przyczyn pozagospodarczych, i ta instalacja jest jedyną, lub jedną z dwóch w Państwie, to fakt istnienia przedsiębiorstw typu d) jest nieunikniony. A poza Gdynią, Mościcami, P. K. P., P. W. P. w Pionkach, S. A. „Nitra", S. A. „Pocisk" i i. istnieje szereg formacji typu d), acz nie d1) jak przemysł hutniczy, węglowy, cukrowniczy, cementowy, rafineryjno - naftowy.

Poza grupą d2), która jest naturalną domeną powstawania syndykatów istnieje szereg przedsiębiorstw gospodarczo należących do grupy wolnokonkurencyjnej, których nie można jednak podciągnąć pod pojęcie warsztatów rzemieślniczych, i drobno przemysłowych. Nietylko ostały się wielkie przedsiębiorstwa w polskim przemyśle bawełnianym, ale nawet powstały w innych gałęziach nowe.

Przedsiębiorstwa tej grupy są nie mniej żywotne od małych i są w naszem życiu nie do wyeliminowania.

Jakże więc przeskoczyć tę antynomję? jakże zachowując wielkie przedsiębiorstwa stworzyć Polskę rękodzielniczą i drobno - przemysłową?

Odpowiedź p. h. dr. dał sam, mówiąc o reformie rolnej. Jeżeli reforma rolna przeprowadzona w 100% nie rozwiąże zagadnień agrarnych w Polsce, to jednak przeprowadzona nawet nie w 100% stanowi czasową ulgę. Jeżeli Polska nie może stworzyć drobnego przemysłu we wszystkich branżach, aby wessał nadmiar ludności, to tem nie mniej należy umożliwić każdemu stworzenie warsztatu rzemieślniczego, któryby, choć w skromnych rozmiarach stał się miejscem zaczepienia siły roboczej.

Czy taka możliwość w Polsce istnieje? Czy istnieć może przy dzisiejszem agospodarczem nastawieniu społeczeństwa? czy dla jej powstania nie trzebaby uprzednio przeprowadzić reform w trzech dziedzinach: podatkowej, ubezpieczeń społecznych i ochrony pracy, reform idących przedewszystkiem w kierunku zdyssocjowania zasad polityki do grupy—w zależności od zastosowania —d lub c?—To wszystko są pytania, któremi przed wakacjami nie chcemy zaprzątać uwagi czytelników. Pozostaje niewątpliwym fakt jeden: Polityka gospodarcza i społeczna Polski, wychodząc z założeń wzrostu dobrobytu i wzrostu stopy życiowej szerokich warstw nie może być sztywną, jednolicie stosowaną do wszystkich warsztatów pracy.

s. m.

DZIWOLĄG Z TRADYCJĄ

W numerze 5 Gospodarki Narodowej potrąciłem przy omawianiu innych problemów o sprawę podatku wyrównawczego. Podatek ten nazwałem anomalją, jako podatek oparty — w praktyce — o zasadę, iż wysokość opodatkowania jest tem większa, im biedniejsza jest opodatkowana gmina. W ostatnim numerze Gospodarka Narodowa zamieściła obronę podatku wyrównawczego pióra p. Wacława Gajewskiego. Mimo, iż sprawę podatku wyrównawczego potrąciłem tylko mimochodem i to — w mylnem jak się okazuje — przekonaniu, że całość opinji jest tu zgodna, uważam za konieczne powrócić do tego osobliwego podatku, rozszerzając jednocześnie nieco temat dyskusji.

Przedewszystkiem pragnę tym czytelnikom, którzy sprawy nie znają, lub też przeoczyli odnośne wyjaśnienia w artykule p. Gajewskiego, uprzytomnić, na czem polega konstrukcja podatku wyrównawczego. Konstrukcja ta jest równie prosta,

jak założenie niepospolite. Konstrukcja polega na tem, że w wypadku kiedy „normalne“ dochody gminy nie wystarczają na pokrycie jej budżetu, deficyt budżetowy pokrywany jest podatkiem wyrównawczym, ustanawianym w odpowiedniej wysokości. Innemi słowy, jest tak właśnie, jak napisałem. Jeżeli gmina jest biedna, czego wskaźnikiem jest właśnie to, że dochody z normalnych podatków, obowiązujących na terenie Rzplitej, nie wystarczają na pokrycie normalnych wydatków, wynikających z tych samych na terenie Rzplitej obowiązków gminnych, gminiacy muszą uiścić dodatkowy podatek, tem większy, im mniejszy był wymiar podatku zasadniczego, im większy był deficyt, to znaczy, tem większy, im są biedniejsi. Że tak właśnie jest w istocie, potwierdza nam norma dodatkowa, która stanowi, że w województwach zachodnich ogólna suma podatku wyrównawczego nie przekracza 1/4 „normalnego“ opodatkowania gruntów, natomiast w biedniejszych wschodnich i centralnych dochodzi do 150 i 200% obciążenia normalnego. Rzecz jasna, że tak się musiało stać, bo wynika to z samego założenia, z samej konstrukcji podatku.

Czy można w tych warunkach pominąć słowo „anomalja“? Czy nie jest ono raczej za słabe... Czy nie należałoby raczej powiedzieć, że jest to najbardziej antyspołeczny ze wszystkich podatków, jakie wymyślić się dadzą? Że podatek taki podważa zasady sprawiedliwości podatkowej, na jakiej ufundowana jest całość systemu? Wiadomą jest rzeczą, że instytucje publiczne dostosowują w miarę możności swe dochody do potrzeb. Tem różni się gospodarka publiczna od indywidualnej. Ale w gospodarce Państwa rozkład ciężaru podatkowego oparty jest, jeśli nie o zasadę progresywnego obciążania większych dochodów (podatek dochodowy), to przynajmniej o zasadę mechanicznej równości (podatek gruntowy, podatki pośrednie). W podatku wyrównawczym mamy do czynienia z jedyną w swoim rodzaju progresją odwróconą.

Tem niemniej p. Gajewski nazywa tę anomalję zjawiskiem normalnem, przytaczając szereg przykładów stosowania w państwach zaborczych podatków identycznych, lub analogicznych. Niestety muszę stwierdzić, że ten sposób argumentacji wydaje mi się niezmiernie mało przekonywujący. Nie będąc podatkowcem, wiem dobrze, że gdyby sięgnąć do historji skarbowości, można byłoby gruby tom, jeśli nie kilka tomów, zapełnić samemi tylko przykładami podatków absurdalnych, antygospodarczych i antyspołecznych. Podatek wyrównawczy znakomicie czułby się na odpowiedniej stronicy takiego tomu. Dawność, bogata genealogja tego dziwoląga podatkowego, jakim jest podatek wyrównawczy, mogą dowieść jednej tylko rzeczy... jego dawności. Nie dowodzą jednak absolutnie słuszności podatku.

Zresztą przekonany jestem, że argument powyższy użyty został przez p. W. G. tylko posiłkowo. Istota sprawy leży gdzieindziej. Tam, gdzie autor pisze, że podatek wyrównawczy, uchwalony początkowo na rok, zamienił się z prowizorjum w podatek trwały, przetrwał do dni dzisiejszych jako *konieczność.* Konieczność w tym sensie, że bez podatku wyrównawczego gminy nie byłyby w stanie sprostać swoim obowiązkom. Tu leży sedno sprawy. Jeżeli się stanie na stanowisku nietykalności wszystkich elementów, stwarzających w końcowym efekcie potrzebę stosowania podatku wyrównawczego, to istotnie sytuacja wydaje się praktycznie nierozwiązalna. Po tej drodze jednak można dojść do rzeczy bardzo wesołych, a raczej bardzo niewesołych. Można np. dojść do wniosku, że z chwilą spadku wpływów z podatków normalnych, a przy nietykalnym budżecie, trzeba będzie podwyższać podatek wyrównawczy (tak zresztą jest w istocie). Ale przecież w ten sposób dojdziemy poprostu do tego, że podatek wyrównawczy będzie wzrastał w okresie kryzysu. Że sztywność obciążenia, jego niezależność od wahań konjunkturalnych, będzie się nam wydawała ideałem w porównaniu z tą zasadą, prowadzącą do zwiększania obciążenia przy zmniejszającym się dochodzie społecznym. Wolne żarty.

Nie wierzę w to, ażeby koniecznością było utrzymywanie dziwactw podatkowych. Istnienie tych dziwactw świadczy zawsze o jakimś błędzie założenia, i likwidując ten błąd, likwidujemy dziwactwa. Mój oponent był niezmiernie bliski prawidłowego postawienia sprawy, ale sam je odrzucił. Odrzucił myśl, że „ktoś dopłaci biedniejszej gminie z funduszów publicznych“, że moglibyśmy „odstąpić od powszechności obowiązków, które ciążą na gminach“. Odrzucił, twierdząc, że interes Państwa nie pozwala na dopuszczenie swobody obniżania poziomu zaspokojenia potrzeb i że sami gminiacy z takiej swobody nie chcieliby korzystać. Pomijam kwestję, czy gminiacy, nawet najbardziej ceniący sobie pracę sekretarza gminnego i jego trzech pomocników, nie pogodziliby się ze zredukowaniem ilości tych panów do połowy, za cenę rzadszych odwiedzin piątego pana, komornika. Ani p. Gajewski, ani ja nie jesteśmy w stanie dowieść słuszności naszych odmiennych tez. Ważniejsze jest dla mnie zastanowienie się, czy rzeczywiście nie do pomyślenia jest zróżniczkowanie obowiązków samorządu w zależności od siły płatniczej terenu oraz dopełnianie budżetów uboższych samorządów z centralnych źródeł. Muszę stwierdzić, że wydaje mi się to nietylko do pomyślenia, ale nawet jak najbardziej słuszne. Te same przepisy, słuszne w poznańskiem, są absurdalne na kresach. Wyrównywanie przepisów zanim wyrówna się poziom życia indywidualnego, poziom gospodarki indywidualnej, jest złudą i nie prowadzi bynajmniej do wyrównania poziomu życia, lecz przeciwnie, hamuje proces niwelacyjny drogą zwiększania obciążeń publicznych i utrudniania postępu gospodarczego. Te same przepisy, to te same obowiązki, te same wydatki, itd. Jeżeli w niektórych dziedzinach zachodzi potrzeba jednolitego traktowania całego terenu i jeżeli w konsekwencji powstaje obciążenie, przerastające siły uboższych gmin, to rzeczą zupełnie logiczną jest, ażeby ten nadmierny ciężar został zdjęty z danej gminy, a przerzucony na całość gospodarstwa społecznego. Ktoś może mi powiedzieć, że uszczupli to samodzielność samorządu. Wydaje mi się, że nie od tej strony można i należy tej samo-

dzielności bronić. Natomiast w imię samodzielności samorządu nie można zapominać o tem, że Państwo nie jest mechanicznym zlepkiem gmin, lecz pewną organiczną całością. Zasada samowystarczalności gminy jest zdrową wytyczną, ale nie może być schematem. Jest wytyczną dla ustalenia wydatków gminy. W wypadku jednak wyższej konieczności, w wypadku zwłaszcza interesu państwowego, można i należy odstąpić od wytycznej samowystarczalności. Wtedy należy przypomnieć sobie, że stosunek obywatela - podatnika do ciał publicznych nie jest stosunkiem ścisłej odpłatności. Że nasze współczesne pojmowanie sprawy dopuszcza w całej pełni to, że jeden płaci więcej, a korzysta mniej, drugi zaś odwrotnie.

Węższa sprawa podatku wyrównawczego zaprowadziła mnie na szerszy temat, problemu samorządowego. Problemu tego nie jestem w stanie nietylko wyczerpać, ale choćby szkicowo ująć, z chwilą, kiedy punktem wyjścia tej uwagi jest tylko jeden odcinek zagadnienia finansów samorządowych. Dlatego też nie rozwijając zagadnienia dalej, muszę poprostu stwierdzić, że kwestja zlikwidowania podatku wyrównawczego przestaje być nieprawdopodobieństwem z chwilą, kiedy rzuci się ją na szersze tło, czyniąc z niej jeden z podstawowych postulatów organicznej przebudowy gospodarki samorządowej.

Czesław Bobrowski.

JÓZEF PONIATOWSKI

U ROZSTAJU

Dokonanie procesów likwidacyjnych, niezbędnych dla przygotowania poprawy gospodarczej, bynajmniej nie przekracza realnych możliwości, ale wymaga ześrodkowania znacznej energji dla przełamania oporów.

W artykule p. t. „Potrzeba wysiłku" („Gospodarka Narodowa" Nr. 12) usiłowałem wykazać, że utrzymanie dotychczasowego kierunku polityki pieniężnej, nieodzowne dla przyszłego zdrowego rozwoju, staje się w miarę trwania ciężkiego przesilenia coraz trudniejsze i może się stać nierealne, jeżeli nie zostanie poparte przez aktywną i zdecydowaną politykę gospodarczą, skierowaną ku przyśpieszeniu i wzmocnieniu procesów wyrównawczych. W tym samym numerze naszego pisma ogłosił p. Czesław Bobrowski artykuł p. t. „Granice autoterapji", oświetlający to samo zagadnienie poniekąd z przeciwnej strony. O ile rozumiem, myślą przewodnią artykułu jest wyrażenie sceptycyzmu co do możliwości skutecznego przeprowadzenia takiej właśnie polityki likwidacyjnej, którą obaj uważamy za niezbędną dla doprowadzenia do poprawy przy zachowaniu dotychczasowej polityki pieniężnej.

Sprzeczność poglądów ma w tym wypadku znaczenie zupełnie zasadnicze. Jeżeli bowiem sceptycyzm p. Bobrowskiego nie miałby być rozważaniem czysto akademickiem, do czego Autor nie wydaje się skłonny, w takim razie praktyczną konsekwencją jego stanowiska musiałoby się stać dążenie do pchnięcia naszej polityki gospodarczej na drogę inflacyjnego „nakręcania" konjunktury w tej albo innej formie. Konsekwencją zaś mego stanowiska musi być przeciwstawienie się wszelkiej inflacji zanim w następstwie dokonanej w latach 1930 — 32 deflacji zostaną przeprowadzone procesy wyrównawcze. Zgodzimy się zapewne obaj na pominięcie trzeciej ewentualności, t. j. dłuższego biernego postoju u dróg rozstajnych, jakkolwiek dzisiejsza rzeczywistość wydaje się bliska takiego właśnie stanu rzeczy.

P. Bobrowski nie jest bynajmniej przeciwnikiem procesów likwidacyjnych. Oświadcza się wyraźnie za ich potrzebą, w niektórych wypadkach koniecznością. Uważa jednak skuteczność polityki gospodarczej w tym zakresie za tak ograniczoną, że nie może ona doprowadzić, jako główny środek, do nadejścia poprawy. Przesłanki, na których opiera ten pogląd są prawie w całości natury psychologicznej. „Nie jesteśmy psychologicznie przygotowani" do „pogodzenia się ze stratami wierzyciela, z bankructwem szeregu przedsiębiorstw, z likwidacją nadmiernej zdolności produkcyjnej". To nieprzygotowanie wynika z nieprzebycia szkoły kapitalizmu, braku tradycji gospodarczej, dzisiejszej dążności zarówno rządzących jak rządzonych do dawania przewagi asekuracji przed stratami nad osiąganiem dużych zysków. „Niema jakiejś zasadniczej sprzeczności pomiędzy interwencjonizmem z jednej, a polityką likwidacji przerostów z drugiej strony. Istnieje ona jednak praktycznie póty, póki interwencjonizm jest taki, jakim narazie jest i być musi, t. zn. dorywczy i niesystematyczny".

Daleki jestem od wiary we wszechmoc interwencjonizmu, a przytoczony przez autora „Granic autoterapji" baconowski aforyzm „natura non vincitur nisi parendo" chętniebym rozplakatował we wszystkich naszych resortach i urzędach. Stąd jednak daleko do takiego determinizmu, któryby nas zmuszał do zaniechania słusznego kierunku polityki ze względu na trudność przełamania oporów psychicznych. Z faktu, że interwencjonizm współczesny „jest i być musi" dorywczy i niesystematyczny niepodobna wysnuć jakichkolwiek sensownych przesłanek dla polityki, zarówno inflacyjnej jak deflacyjnej. Albo się uważa, że można, pomimo wszystko, nadać pewnym odcinkom polityki gospodarczej logiczny kierunek, w takim razie staje się uprawnione poszukiwanie kierunku najlepszego, t. zn. najbardziej zgodnego z założoną hie-

rarchją ocen, albo się nie wierzy w taką możliwość, a wówczas wszelka wogóle dyskusja o polityce gospodarczej staje się bezprzedmiotowa.

Opór psychiczny środowiska może płynąć z przesłanek natury racjonalnej, opartych na objektywnej ocenie rzeczywistości, oraz irracjonalnych. Te ostatnie z samej swej istoty nie poddają się obliczeniom i przewidywaniom, nie mogą więc służyć ani dla uzasadnienia jakiegoś programu, ani dla jego krytyki. Należy się liczyć z ich istnieniem, należy być przygotowanym, że mogą być przyczyną obalenia w praktyce najlogiczniej przemyślanej koncepcji, ale pomimo to niepodobna wymagać od ekonomisty, by rezygnował z racjonalistycznego rozumowania, stanowiącego jedyne narzędzie, którem się może posługiwać. Jest rzeczą taktyki, czy nawet techniki życia zbiorowego, by stworzyć dokoła pożądanej koncepcji pomyślną dla jej realizacji atmosferę psychiczną, ale poddawanie zasadniczego kierunku polityki skręceniu niemal w przeciwną stronę ze względu na niepopularność, byłoby oportunizmem, z którego właśnie rodzić się musi „dorywczy i niesystematyczny" interwencjonizm.

Zastanówmy się, dla przykładu, jakie wnioski praktyczne można wyciągnąć z nadwyraz słusznego spostrzeżenia p. Bobrowskiego, że pominąwszy szkołę kapitalizmu przeskakujemy łatwo „do następnej fazy psychiki kapitalistycznej, fazy, której istotą jest rezygnacja z wysokiej stopy zysków wzamian za ich gwarancję". Ten przeskok łatwo sobie wytłomaczyć przejęciem poglądów społeczeństw staro - kapitalistycznych. O ile jednak w krajach, które już nagromadziły znaczne bogactwa i osiągnęły stosunkowo wysoką stopę życiową, dążenie do asekuracji tych zdobyczy jest do pewnego stopnia narzucone przez objektywną rzeczywistość, o tyle w kraju, który nie przeszedł rozwoju kapitalistycznego wyrzeczenie się ryzykownej przedsiębiorczości i wysokich zysków stanowiłoby o utrwaleniu stanu ubóstwa, a polityka oparta na wierze w niewzruszalność takiej psychologji powodowałaby zastój na niskiem stadjum rozwojowem. Zupełnie inaczej trzeba ważyć stany psychiczne nieuchronnie związane z objektywnemi warunkami, jak np. brak zaufania w dobie tolerowania niedotrzymywania zobowiązań, oraz wynikające z braku doświadczenia, z konserwatyzmu, albo z propagandy. Nasze „nieprzygotowanie psychiczne" do procesów likwidacyjnych należy niewątpliwie do tej drugiej kategorji.

Pogodzenie się ze stratami wierzyciela bynajmniej nie wydaje się dla psychiki społecznej trudne. Gładko przełknęliśmy szereg ustaw dalekich od oszczędzania świętości zobowiązań i spora część opinji radaby pójść w tym kierunku dalej, czemu trudno się dziwić wobec liczebnej przewagi dłużników nad wierzycielami. Wierzyciel zadużo zyskał przez deflację, aby mógł nie stracić zarówno przy polityce przystosowania życia gospodarczego do przeprowadzonej deflacji, jak i przy polityce inflacyjnej. Ze względu na kredyt publiczny ważne jest tylko: w jaki sposób wierzyciel straci. Pod tym względem uważam za bardziej szkodliwe generalne narzucanie strat wierzycielom czy to przez dobrowolną deprecjację pieniądza, czy przez modyfikację zobowiązań, aniżeli indywidualne straty drogą bankructw i dobrowolnych ustępstw, wywołanych przez obawę upadłości dłużnika.

Do zrozumienia funkcji bankructwa rzeczywiście nie jesteśmy przygotowani. Za czasów markowych spłacanie zobowiązań było nadzwyczaj ułatwione, kryzysowi 1925/26 r. towarzyszył spadek waluty, także ułatwiający wypłacalność, podczas obecnego przesilenia stosowana jest szeroko polityka anty - egzekucyjna, jaskrawo sprzeczna z równocześnie prowadzoną polityką deflacyjną. Liczba upadłości w Polsce zeszła w 1934 r. do 266*) we wszystkich gałęziach życia gospodarczego, wobec 703 w Austrji, 984 w Szwajcarji, 1260 w Czechosłowacji, 2712 w Niemczech, 7739 we Włoszech, 10398 we Francji, przyczem wymienione kraje są również terenem łagodzenia fali bankructw przez politykę interwencyjną.

Byłoby doktrynerstwem upieranie się przy tak bolesnym środku likwidacji jak bankructwo, gdybyśmy posiadali doskonalsze środki, pozwalające ten prymityw zastąpić. Niestety, obserwujemy dotąd tylko mechaniczne zapobieganie upadłościom, stanowiące raczej o ich opóźnieniu. W tych warunkach zapewne będziemy musieli przestać patrzeć na bankructwo, jak na najgorsze zło, wypadnie zrozumieć, że zapobieganie upadłościom za wszelką cenę może być o wiele groźniejszem złem społecznem.

Słusznie podnosi p. Bobrowski trudność, płynącą z przewagi grup o stałem uposażeniu w kształtowaniu opinji społecznej, jak również z częstej skłonności rządów autorytatywnych do konserwowania stanu posiadania poszczególnych grup. Przykład wschodni świadczy jednak, że rządy autorytatywne mogą także dokonywać pokaźnych przesunięć w stanie posiadania, nadto procesy wyrównawcze miałyby dziś raczej działanie przywracające podział dochodu społecznego bardziej zbliżony do tego, przy którym stan gospodarstwa narodowego uważano za pomyślny.

Sceptycyzm co do skuteczności akcji przystosowania znajduje łatwe oparcie w doświadczeniach ostatnich lat kilku, choćby na samym odcinku cen: wylano w bojach nad obniżeniem cen związanych morze atramentu, próbowano kilku różnych dróg (ustawa kartelowa, ustawy specjalne dla niektórych towarów, nacisk administracyjny, propaganda i t. d.), osiągnięto parokrotnie wyniki nie do zlekceważenia, ale ostatecznie nie udało się zmniejszyć dyspersji, a opinja publiczna jest głęboko zniechęcona. Nie ulega też wątpliwości, że łatwiej jest pociągnąć masy narkotykiem inflacji niż wymagającą ofiar polityką deflacyjną. Pomimo tej trudności można uważać za pewne, że zakrojona na większą miarę, stanowcza i obejmująca wszystkie dziedziny życia gospodarczego polityka przystosowania miałaby wielkie szanse zyskania społecznego poparcia po przełamaniu początkowego

---

*) Mały Rocznik Statystyczny 1935, str. 61.

odruchu obawy. Dzisiejsze zniechęcenie wynika przedewszystkiem z braku orjentacji, z trudności uchwycenia wyraźnego kierunku, w którym się idzie. Sama polityka pieniężna jest dziś daleko od heroizmu pierwszych lat kryzysu: nie znajdując współdziałania innych gałęzi polityki gospodarczej musi się krok za krokiem cofać. To cofanie się zmniejsza nacisk na procesy wyrównawcze, ale nie jest znowu o tyle szybkie, by można było mówić o zdecydowanej inflacji. Ostatecznie spora część opinji wyobraża sobie, że dotąd instytucja emisyjna stosuje deflację i temu błędnemu przypuszczeniu przypisuje wszystkie trapiące społeczeństwo trudności płynące z niedostosowania ogółu elementów życia gospodarczego do dokonanej deflacji.

Wydaje mi się pouczającym przykład francuski z dni ostatnich: dopóki poszczególni ministrowie skarbu, drżąc o swe teki, wyszukiwali połowiczne sposoby łagodzenia deficytu i skłonni byli się cofać przed każdym oporem, egoizmy grupowe zawsze okazywały się silniejsze od nich i zdawało się, że zadanie jest nie do przeprowadzenia. Gdy rząd wystąpił z integralnym programem, wymagającym ofiar od wszystkich — protesty okazały się słabsze niż to ktokolwiek przewidywał. Nie wiem, czy plan francuski jest doskonały i czy będzie w rzeczywistości wykonany, ale dziś już można stwierdzić, że ten pierwszy opór psychiczny, który w zmaterjalizowanej, rentjerskiej Francji zdawał się o wiele potężniejszy niż w Polsce — leży w gruzach.

Obok wskazania trudności psychicznych artykuł p. Bobrowskiego przynosi w zakończeniu, z powołaniem się na prof. Tennenbauma, obawę realnych niebezpieczeństw „auterapji". Tu już mamy do czynienia nie ze sceptycyzmem, ale wręcz z pesymizmem, nie znajdujemy natomiast najlżejszej sugestji co do motywów obawy, co do mechanizmu, który miałby powodować owe opłakane skutki, aż do śmierci pacjenta włącznie. Rozumiem, że w każdym kierunku można poprowadzić złą, szkodliwą politykę, ale szukam kierunku, w którym istnieje największa szansa, że polityka da skutki dobroczynne. Usiłowałem wielokrotnie wykazać, że polityka likwidacyjna w szerokiem znaczeniu, integralnie przeprowadzona, może dać takie skutki. Zarazem równoczesność działania złagodzi znakomicie jej skutki ujemne, jest bowiem zrozumiałe, że obniżenie budżetów jest zależne od obniżenia cen kartelowych, obniżenie cen każdego poszczególnego artykułu zmonopolizowanego jest bez porównania trudniejsze niż przy równoczesnem obniżeniu wszystkich cen „sztywnych", a zarazem taryf, obciążeń społecznych i innych ciężarów, że znowu redukcja świadczeń społecznych może być przez świat pracy przyjęta tylko w łączności z wydatnem obniżeniem cen kartelowych i z wynikającem z całej akcji zwiększeniem zatrudnienia, że rolnictwo może się wyrzec obciążania budżetu ciężarem interwencji tylko w ramach wielkiego programu odciążenia kosztów produkcji i t. d. Terapja zastrzykowa (inflacyjna), przeprowadzona bez usunięcia zwyrodniałych tkanek powodujących chorobę, jest z reguły milej przyjmowana przez pacjenta niż ciężki zabieg chirurgiczny. Niestety, nie daje ona szansy trwałego uleczenia.

Mogłaby jeszcze istnieć alternatywa: najpierw wzmocnić chorego przez zastrzyk, potem dokonać operacji. Zdaje się, że i p. Bobrowski radby te środki łączyć, skoro pewne zabiegi likwidacyjne uważa za niezbędne. Zachodzi jednak ta trudność, że tylko pod naciskiem deflacji można przezwyciężyć te opory psychiczne, o których wyżej była mowa. W podnieceniu inflacyjnem pacjent czuje się dobrze i nie pójdzie do chirurga zanim stan jego dozna ponownego pogorszenia. Wzrost cen i wzrost produkcji nie prowadzą do selekcji przedsiębiorstw, ani poprawa wpływów skarbowych — do oszczędniejszej gospodarki.

Zdaję sobie sprawę, że publicystyka gospodarcza nie jest i nie może być ośrodkiem dyspozycji, że sceptycyzm p. Bobrowskiego może się okazać uzasadniony w tym sensie, że polityka gospodarcza nie podejmie decyzji energicznej akcji wyrównawczej, że może jeszcze poduma nieco u rozstaju, usiłując pogodzić politykę łagodzenia z polityką dopasowania, a może nawet zawrócić na drogę, przed którą usiłowałem przestrzegać. Sądzę jednak, że obowiązkiem publicysty jest oddziaływanie w kierunku, który uważa za słuszny, choćby szansa realizacji narazie nie była duża. Uważając kondensowanie energji społecznej na odcinku likwidacji przerostów za zadanie prędzej lub później nieuniknione, nie mogę przyjąć sceptycyzmu, jako właściwego do tego celu narzędzia.

NUMER 15 — 16 „GOSPODARKI NARODOWEJ" UKAZUJE SIĘ JAKO PODWÓJNY. NASTĘPNY NUMER 17 — 18, RÓWNIEŻ PODWÓJNY, UKAŻE SIĘ DN. 15 WRZEŚNIA B. R.

ANDRZEJ MOLIŃSKI

ROLA I MOŻLIWOŚCI ADMINISTRACJI GOSPODARCZEJ

Określając rolę i możliwości działania administracji gospodarczej państwa, należy wziąć pod uwagę materjał ludzki, z którego formowała się administracja, oraz jej obecną strukturę organizacyjną.

I.

Administracja gospodarcza w Polsce dość wyraźnie wyodrębnia się z całości administracji publicznej. Co więcej, administrowanie stosunkami gospodarczemi w znacznej mierze pozostawia się sferze zainteresowanej. Wywołuje to wrażenie, że w dziedzinie tej nie są zamierzone dalej idące zmiany, że zasada utrzymania status quo jest zadaniem głównem. Odmiennie jak wiemy przedstawia się polityka powiedzmy oświatowa czy narodowościowa, dążąca do osiągnięcia ustrojowych przekształceń, czy też do przeciwdziałania pewnym tendencjom odśrodkowym, samorzutnie powstającym w społeczeństwie.

Być może, że ten kierunek wynika z obawy przed powikłaniami, któreby powstać mogły przy niekonserwatywnem stanowisku, być może też, że dużą rolę odgrywa tu pogląd o konieczności utrzymania stanu posiadania i praw nabytych kapitału, ze względu na ogólną sytuację polityczno-geograficzną oraz na interesy czynników zagranicznych.

II.

Aparat administracji gospodarczej w Polsce tworzony był z elementu o wysokiem napięciu zapału, z elementu patrjotycznego, posiadającego dużo samozaparcia, szlachetne metody działania i wiele talentów, a może tylko chęci organizacyjnych. Pierwsza fala, która do administracji napłynęła, składała się głównie z ludzi starszego pokolenia, wychowanych przed wojną, w warunkach zupełnie odrębnych, ludzi słabo zorjentowanych w konstrukcji i zadaniach współczesnej administracji gospodarczej. W tem nawarstwieniu nieraz dominowało przekonanie, iż administracja powołana została do tworzenia Polski gospodarczej z niczego, że od niej zaczyna się budowa podwalin przemysłu, handlu i rolnictwa w Polsce.

Po tej fali przyszła druga, zupełnie odmienna. Była to fala młodzieży kształconej przed wojną, ale dojrzałej już w czasach i warunkach wojennych. W przeważającej większości byli to ludzie, którzy nie przeszli szkoły życia zupełnie i szli wprost z frontu lub uczelni na stanowisko urzędnicze. Fala ta miała może jeszcze więcej zapału twórczego od poprzedniej. Reprezentowała tę samą bezinteresowność, ale także zbyt małą wiedzę o organizacji i strukturze samej administracji. Ta druga fala poczęła napływać do administracji bezpośrednio po pierwszej — roczniki pośrednie znajdowały w międzyczasie łatwe zatrudnienie na placówkach prywatnych. Zrozumienia między temi dwoma nawarstwieniami nie było, chociażby ze względu na dużą różnicę wieku i systemu wychowania oraz na odmienny pogląd na funkcje państwa. Brzmi to paradoksalnie, ale bodaj że, rzeczywiście młodsze pokolenie lepiej zdawało sobie prawę z realnych zadań państwa na polu administracji gospodarczej, wynosząc ponadto już z uczelni pewne przygotowanie teoretyczne do spełniania tych zadań. Warto podkreślić, że młodszy element, skupiający się na stanowiskach urzędniczych, nie rekrutował się już tak przypadkowo jak poprzednio. W większości wypadków wybór danego zawodu, danej drogi życiowej, był w młodszem pokoleniu wynikiem specjalnego zamiłowania do działalności w zakresie zagadnień społeczno - gospodarczych, co nie zawsze można było powiedzieć o pierwszej fali starszego pokolenia. Pewna część tej młodszej fali, część niekoniecznie mniej ideowa, ale może o nastawieniu bardziej zarobkowem, a w każdym razie bardziej przedsiębiorcza i energiczna, odpłynęła do prywatnej gospodarki, rozwijającej się w owym okresie żywiołowo.

W latach ostatnich napływa do administracji gospodarczej trzecia kategorja, kategorja ludzi wychowanych, i wykształconych już po wojnie. Odmładzanie administracji gospodarczej wiąże się z dwoma zjawiskami. Pierwszem z nich jest odpływ z administracji części sił najbardziej wykwalifikowanych do gospodarki prywatnej, względnie do administracji publicznej niepaństwowej, społeczno-gospodarczej, w formie związków, instytucyj społecznych itp. Odpływ ten zaostrzony został między innymi na skutek względnego pogorszenia sytuacji materjalnej urzędników po nowej ustawie uposażeniowej. Drugiem zjawiskiem, z którem łączy się odmłodzenie administracji jest znane zagadnienie trudności znalezienia pracy w okresie kryzysu. Starsze pokolenie stosunkowo łatwiej znajdowało zatrudnienie w gospodarce prywatnej, natomiast młode, musi się godzić na niskie uposażenie i trudne warunki pracy w administracji państwowej. Objęcie takiej lub innej pracy jest dla tego pokolenia już nie kwestją wyboru kierunku, ale kwestją zapewnienia egzystencji, kwestją zabezpieczenia przed bezrobociem.

Trzecią, najmłodszą falę, charakteryzuje odmienny stosunek do pracy na terenie państwowym. Stosunek do Państwa jest w tem najmłodszem pokoleniu spokojny, Państwo jest dlań określonym ośrodkiem administracyjnych funkcyj, praca w aparacie państwowym nie posiada tego charakteru *służby*, jaki nadawały jej poprzednie pokolenia, sil-

niej natomiast akcentowany jest moment zabezpieczenia egzystencji osobistej w obliczu możliwego bezrobocia.

III.

Już w świetle powyższych uwag jasnem się staje, że pełna spoistość naszej administracji gospodarczej nie jest łatwa do osiągnięcia. Zgranie w pracy jest chociażby z tego względu trudne, że rodowód duchowy i przygotowanie do pracy nawarstwień urzędniczych po sobie następujących jest różnolite. Samo nastawienie do pracy i pojmowanie jej celu jest całkowicie odmienne w pierwszej fali urzędniczej i wśród młodego narybku dziś formowanego.

Nie jest to jedyny czynnik utrudniający uzyskanie wspomnianej spoistości. W poszczególnych resortach administracji gospodarczej wytwarza się atmosfera reprezentowania rozbieżnych interesów. Wiąże się to z olbrzymią rolą jaką w działalności administracji gospodarczej odgrywa to, co nazywamy zazwyczaj interwencjonizmem. Interwencja na ogół biorąc stawia sobie za cel utrzymanie rentowności względnie zatrudnienie pewnej grupy istniejących warsztatów pracy. Olbrzymia część pracy administracji gospodarczej polega na przeciwdziałaniu skutkom kryzysu, i to drogą zarządzeń, czy wprost dotacyj na rzecz poszczególnych działów gospodarstwa, dotkniętych kryzysem. W ten sposób bezpośredniem zadaniem poszczególnych komórek administracji gospodarczej staje się piecza nad interesami jakiegoś określonego odcinka gospodarki a to przecież jest już równoznaczne z pojęciem obrony interesów poszczególnych grup gospodarki narodowej w stosunku do dziedziny życia gospodarczego, w której interwencja nie była dotychczas potrzebna oraz w stosunku do całego niereglamentowanego odcinka gospodarki narodowej.

Poważną część pracy resortów stanowi obrona interesów odcinka powierzonego ich pieczy, wobec interesów uznanych za obce, a więc w pierwszym rzędzie wobec interesów zagranicy względnie kapitału zagranicznego w Polsce. Co się tyczy tego ostatniego odcinka, to stosunek administracji nie jest tu o tyle jednolity, że uznajac w zasadzie kapitał ten za czynnik obcy, autonomiczny i nie poddający się reglamentacji, od czasu do czasu uznaje się odnośne działy produkcji czy wymiany za krajowe, podejmując obronę również ich interesów.

Wytwarzający się duch i atmosfera resortowej obrony grup interesów w zasadzie mogłyby znaleść złagodzenie poprzez ustalenie wytycznych, sformułowanych hierarchicznie wyższych wartościowań w dziedzinie polityki interwencyjnej państwa. Jednakowoż instancje i organy, których zadaniem jest koordynowanie pracy poszczególnych resortów, zajmują się raczej uzgadnianiem poprzez kompromis dążeń poszczególnych resortów, aniżeli tworzeniem pewnych nadrzędnych, programowych wytycznych, i tem samem nie oddziaływują dostatecznie w kierunku wyplenienia tendencyj resortowej obrony interesów. Jest to o tyle zrozumiałe, że polityka gospodarcza samodzielna w sensie realizowania jakiegoś niezależnego zupełnie programu, nie jest możliwa przy naszych powiązaniach z interesami obcemi i zależności naszej od kapitału zagranicznego, oraz ze względu na specyficzne warunki kryzysowe. Polityka gospodarcza zresztą z natury rzeczy nie może dążyć do stworzenia jakiegoś całkowicie nowego stanu rzeczy, a jedynie nawiązując do przeszłości, może starać się ją skorygować. Zatem jeśli mówimy o łagodzeniu różnic w administracji gospodarczej i dążeniu do większej spoistości poprzez działanie organów nadrzędnych, ponadresortowych, mamy na myśli nie np. kwestję planowania, ale poprostu wyznaczenia granic i pewnych norm ogólnych dla działalności administracji gospodarczej.

Obok dwu wyżej wymienionych czynników nie sprzyjających spoistości wewnątrz administracji gospodarczej wymienić musimy jeszcze jeden proces, o mniejszej zresztą donioslości. Od szeregu lat obserwujemy tworzenie t. zw. przybudówek administracyjnych. Tworzy się je bądź w imię usprawnienia, niejako komercjalizacji działalności administracyjnej na danym odcinku, bądź w imię wyspecjalizowania komórki administracyjnej, ograniczenia jej wyłącznie do jakiegoś wąskiego odcinka. W przeciwieństwie do ośrodków administracyjnych takich, jak Fundusz Pracy czy Instytut Eksportowy, ściśle włączonych do aparatu administracyjnego, niektóre z tych przybudówek usamodzielniają się bądź na podstawie wydzielenia ich budżetów z budżetu państwowego, bądź też nadania im uprawnień publiczno - prawnych. Kwestja gestji w tego rodzaju placówkach przedstawia się w sposób bardzo skomplikowany, zazwyczaj zarządzane są one przez ciała kolektywne, a kolegjalność zbyt często oznacza niezależność od mandatarjuszy poszczególnych członków kolegjum. Tak czy inaczej, przybudówki te żyją i pracują nie według norm ogólnych, przyjętych dla całej administracji, a według pewnych szczególnych zasad. Nie sprzyja to spoistości na tych odcinkach administracji, na których przybudówki występują szczególnie obficie.

IV.

Szerszem, dalej idącem zadaniem administracji jest planowanie polityki gospodarczej i odpowiedzialność za wykonanie planów. Jest rzeczą jasną, że tego rodzaju działalność możliwa jest pod warunkiem dostatecznie określonego celu i programu. Podnieśliśmy już wyżej, że administracja nasza nie pracuje w warunkach tak pojętego programu gospodarczego, i że, co więcej, istnieją momenty, osłabiające jej spoistość wewnętrzną, jednolitość w pojmowaniu tych samych wytycznych. Tem bardziej zatem konieczne jest położenie nacisku na odpowiedzialność administracji wobec pewnych linji generalnych, niespornych dla administracji gospodarczej każdego państwa. Jedną z takich kardynalnych wytycznych jest demokratyczna zasada obrony interesu słabszego przed interesami silniejszego. Na podstawie tego jednego założenia wybudować można cały szereg wytycznych

szczegółowych, określających sposób oddziaływania administracji na przebieg życia gospodarczego bez podejmowania próby zasadniczych zmian w strukturze gospodarki.

Odpowiedź na pytanie, o ile administracja spełnia swe zadanie w tym zakresie byłaby możliwa jedynie na tle porównawczem, w zestawieniu z rezultatami, osiągniętemi w innych krajach. W każdym razie, stwierdzić należy, że działając w tym kierunku administracja gospodarcza opiera się raczej na wewnętrznych bodźcach, nakłaniających ją do takiej linji postępowania, albowiem odpowiedzialność za taki właśnie kierunek funkcjonowania administracji nie jest wyraźnie określona.

Stwierdzić należy, że pomimo omówionych wyżej warunków pracy administracji państwowej oraz pomimo jej niejednolitego składu, znajduje ona w sobie gotowość do pewnej ofiarności, a nawet gotowość do podejmowania w sposób samorzutny akcji oddziaływania dydaktycznego na społeczeństwo, i krzewienia t. zw. uświadomienia gospodarczego.

Obok wspomnianych wyżej zadań społecznych administracji gospodarczej na liście jej obowiązków istnieją jeszcze skromne bieżące funkcje, istniejące na całym świecie, takie, jak wykonywanie codziennej kontroli administracyjnej w postaci dajmy na to kontroli wag czy notowania cen. Funkcje porządkowe, podobne np. do wydawania paszportów w administracji ogólnej. Funkcje te spełniane są planowo i odpowiedzialnie. Bodaj że pod tym względem administracja nasza wytrzymuje porównanie z administracją krajów zachodnio-europejskich, gdzie przeciętny poziom wykształcenia i kultury jest wyższy.

Reasumując powyższe uwagi możemy powiedzieć, że nasza administracja gospodarcza pomimo, iż proces jej tworzenia nie jest jeszcze ukończony, dobrze spełnia swe funkcje porządkowe. Wielkich zadań natury społeczno - gospodarczej nie mogła się ona dotychczas podjąć ze względu na charakter materjału ludzkiego, z jakiego się składa i na barki jej struktury organizacyjnej t. zn. przedewszystkiem brak centrum polityki gospodarczej w aparacie państwowym.

NOTATKI

KRÓLESTWO CHAŁUPNIKÓW

Żeby dowiedzieć się, w jakiej gałęzi wytwórczości chałupnictwo doszło w Polsce do największego rozwoju, wystarczy wziąć do ręki jubileuszowe wydawnictwo „Stan i położenie przemysłu konfekcyjnego w Polsce", pracę zbiorową, wydaną w czerwcu b.r. z okazji 10-cio lecia Związku tegoż przemysłu.

Przemysł konfekcyjny rozdrobniony jest, jak mało który. Rozdrobniony — to jeszcze nie wszystko. Jest on ponadto wybitnie zróżniczkowany, a jego struktura — skomplikowana i pełna dysharmonij i dysproporcyj. Nie nadaje się do kartelizacji, opiera się tendencjom koncentracyjnym i wymyka się, jak może, spod kontroli i „gospodarki planowej". Poza kilkoma „kolosami" (których wielkość bezwzględna jest nader nieznaczna) reprezentuja go drobne płotki, które w terminologji dyr. A. Wierzbickiego nazywają się „pluskwami". Obok nich — ale już poza Związkiem — możnaby odnaleźć sporo... „pcheł", pod którą to nazwą figuruje przemysł anonimowy i piwniczny (istotnie, nie wiemy, co zacz), „uchylający się od ciężarów publicznych i uprawiający „sweating" na wielką skalę". Na mniejszą skalę „system potowy" uprawia „solidny, realny, jawny" przemysł konfekcyjny związkowy!

Typ nakładczy, oparty na pracy chałupniczej, panuje w przemyśle konfekcyjnym na każdym kroku. „System ten — czytamy w sprawozdaniu Związku—przeważa zwłaszcza w zakresie eksportowym (co do odzieży i bielizny)". Widzimy, że dominuje w produkcji odzieży męskiej (ubrań), płaszczów damskich, damskiej bielizny, haftów i mereżek, beretów, krawatów, drobnej konfekcji (szelki, podwiązki, getry itp.), obcasów. Zajmuje poważne, miejsce w produkcji kapeluszy, czapek, parasoli, guzików i obuwia. Konkurenta znalazł jedynie w przemyśle domowym, a raczej w tem, co pod tę nazwę się podszywa. Sprawozdanie pisze z tego powodu o branży gorseciarskiej (gorseciarstwo ma być wkrótce uznane za rzemiosło): „Plagą są liczne kobiety, które w mieszkaniach zajmują się wyrobem na zamówienie itp. dla znajomych i pracują bez patentu, podatków itp. Typowy przemysł anonimowy, niebezpieczny dla przemysłu legalnego, ale pochodzący w dużej mierze z bezrobocia miejskiego".

Reszta (t. zn. znakomita większość) bezrobotnych kobiet znalazła zatrudnienie w — chałupnictwie. Stosunek ilościowy „załogi" kobiecej do męskiej brzmi, jak 1,6:1. W rezultacie — jak podaje omawiana praca — przeciętny zarobek w „przemyśle" konfekcyjnym wynosił w maju ub. r. 21 zł. 64 gr. tygodniowo, przyczem 56% robotników zarabiało poniżej 20 zł. tygodniowo. Zdarzają się, naturalnie, i jaskrawości: tkacze warszawscy w fabrykach tasiem gumowych uzyskali 14 — 18 zł. dziennie.

Chałupnictwo w przemyśle konfekcyjnym jest zjawiskiem permanentnem, strukturalnem i naturalnem. „System nakładczo - chałupniczy ma bowiem w odniesieniu do produkcji modnych artykułów dużo zalet, stawiających go w korzystniejszych warunkach od (nawet według naukowych zasad przeprowadzonej) organizacji fabrycznej. Sam fakt sezonowości zapotrzebowania, zależny od klimatycznych warunków, daje już pewną przewagę systemowi nakładczo - chałupniczemu, ponieważ system ten jest bardziej elastyczny, wymaga mniejszego kapitału na aparat produkcyjny, obciąża produkcję w okresach międzysezonowych niższemi

kosztami generalnemi. W naszych polskich warunkach, w których sił chałupniczych jest poddostatkiem, daje ten system szczególne korzyści" (sprawozdanie str. 123). Prosto, jasno i bez obwijania w bawełnę.

Chałupnictwo może zniknąć tylko w wypadku usunięcia kapitalizmu, ale to „na całego". Żadne półśrodki nie pomogą, nie da rady „gospodarka planowa", „etatyzm" itp. Albo masowa, wielka produkcja seryjna standaryzowanej odzieży i bielizny fabrycznej, albo chałupnictwo, godzące modę, klimat, sezony, indywidualizm gustów i szczupłość kapitałów. Tertium non datur. Wyzysk chałupnika przez nakładcę jest już tylko wynaturzeniem procesów naturalnych, jest skutkiem przewagi podaży pracy nad popytem na nią, ale bynajmniej nie jest cechą najistotniejszą.

j. g.

RADJO-SŁUCHACZE I RADJO-PODATNICY

Powaga, z jaką przywykliśmy już traktować sprawę radja i rozgłośni radjowych, sprawia, iż nie będzie się chyba wydawało dziwactwem twierdzenie, że ten nowy, doniosły wynalazek techniczny zasługuje na rozważenie również i pod kątem morfologji gospodarki współczesnej. Ściślej biorąc chodzi w danym wypadku nie o produkcję radjoaparatów, lecz o kwestję rozgłośni. Sama produkcja aparatów jest widownią zjawisk absolutnie pokrewnych do tego, co napotykamy w szeregu innych dziedzin przemysłu. Są to rzeczy ciekawe, ale dość typowe i nie posiadają cech specyficznych. Mam na myśli kwestje takie, jak rola wielkich karteli międzynarodowych i współdziałania z temi kartelami małych przedsiębiorstw, a więc klasyczną kwestję żubrów i pluskiew, kwestje takie, jak sprawa rzekomego czy rzeczywistego hamowania postępu technicznego w obawie zmniejszenia rentowności istniejących zakładów wytwórczych*) itp.

Jeśli natomiast chodzi o rozgłośnie i opłaty na rzecz rozgłośni, to stanowią one novum i wyjątek w gospodarce współczesnej, pomimo tego, że koncesjonowanie przedsiębiorstw i nadawanie im przywilejów monopolowych jest zjawiskiem niesłychanie częstem w dobie obecnej, w dobie, kiedy cały szereg gałęzi produkcji nabiera charakteru przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Zawsze jednak opłaty na rzecz danego przedsiębiorstwa uzależnione są od rozmiaru korzystania z jego usług, a w każdym razie od faktu korzystania. Wyjątkowo tylko mogłoby się zdarzyć, ażeby niezależnie od korzystania z usług, dajmy na to przedsiębiorstwa pocztowego, obywatele ponosili ciężary na jego rzecz, w postaci np. pokrywania na drodze budżetowej deficytu tego przedsiębiorstwa. W tym wypadku może się zdarzyć pociągnięcie do świadczeń kogoś, co dajmy na to nigdy nie wysyła listów. Natomiast nawet przy najbardziej usztywnionym systemie opłat, a więc np. przy dawnym systemie opłat telefonicznych stałych, opłaty te pobiera się jedynie od osób, które chociażby w najwęższym zakresie z usług sieci telefonicznej korzystają. (Nikt nie zakłada telefonu po to, ażeby przezeń nie rozmawiać.

Inaczej jest z radjo - aparatem i opłatami na rzecz rozgłośni. Chociażby się nigdy, przenigdy nie słuchało rozgłośni polskich, opłatę na jej rzecz uiścić trzeba. Opłata jest z natury rzeczy niezależna od tego, czy radjo pracuje przez pół godziny, czy przez pół dnia; czy odbiera jedną z rozgłośni, czy wszystkie rozgłośnie polskie. W ten sposób opłata na rzecz rozgłośni jest już właściwie *podatkiem pośrednim od aparatu radjowego* — oczywiście podatkiem o charakterze opłaty celowej. Rzecz prosta, osób, któreby istotnie nie korzystały z radjo - stacji krajowych, niema, albo jest niewiele. Natomiast zupełnie liczna jest kategorja radjosłuchaczy, dla których motywem zainstalowania radjo - odbiornika nie było zainteresowanie audycjami krajowemi, i którzy w wypadku, gdyby np. opłaty były wyższe, a możność zwolnienia z nich pod warunkiem niesłuchania audycji krajowych istniała, z możności tej zechcieliby skorzystać. Oczywiście z braku kontroli jest to ewentualność czysto teoretyczna i tem właśnie, t. zn. niemożliwością przeprowadzania kontroli, czy i w jakim stopniu radjo - słuchacz korzysta z krajowych audycji, tłomaczy się nadanie opłatom radjowym charakteru podatkowego.

Do tej pory chodziło mi o wywód czysto teoretyczny. Ale na podstawie tego wywodu, na podstawie podatkowego charakteru opłat i stwierdzenia, że moment użyteczności publicznej jest tu wyjątkowo silnie zaakcentowany, dochodzi się do pewnych praktycznych wywodów. Jeśli już mówimy o podatku jeśli kryterjum korzystania ze świadczeń odpada, to czy nie należałoby iść konsekwentnie do końca. I jeśli udzielone zostały ulgi w opłatach dla radjo słuchaczy wiejskich, to czy nie należałoby analogicznie postąpić w stosunku do wszystkich radjosłuchaczy, posiadających aparaty kryształkowe, z tem, że równocześnie podwyżce uległyby opłaty od aparatów wielolampowych. Albo inny problem. Problem reklamy w audycjach Nikomu nie przyszło do głowy zgłaszać pretensje do Kurjera Warszawskiego o to, że ogłoszenia i nekrologi stanowią w nim — sit venia verbo — część najobfitszą, najciekawszą i najżywszą. Natomiast zastrzeżenia nasuwają się z chwilą, kiedy dajmy na to poczta zasypuje nas drukami reklamowemi. Ale tu bądź co bądź powódź reklamowa następuje im plus normalnych świadczeń poczty. Natomiast reklama w radjo odbywa się kosztem normalnych świadczeń. Ze zrozumiałych względów rozgłośnie, wybierają na audycje reklamowe „najlepsze godziny". To znaczy godziny, kiedy największa ilość słuchaczy dysponuje czasem do wykorzystania praw, nabytych przez uiszczenie opłaty radjowej. Właściwie nadawanie audycji reklamowej jest naruszeniem tych praw w imię prywatno-gospodarczych interesów przedsiębiorstwa,

*) Tygodnik „Merkuryusz" dowodził kiedyś, iż w interesie wytwórni lamp radjowych, a więc jednego z najbardziej kosztownych składników aparatu odbiorczego, zwalczany jest wynalazek bezlampowego aparatu na głośnik.

które korzystając z uprawnień, właściwych grupie użyteczności publicznej, powinnoby tem samem konsekwentnie poddać się „rygorom moralnym", które stąd wynikają.

I jeszcze jedno. W tem miejscu odzywa się we mnie radjo - słuchacz zamiast ekonomisty. Gdybyż przynajmniej te koncerty reklamowe nie były tak potwornie nudne i niezręczne. Gdyby choć raz speakerka czy speaker wynalazła jakąś nową zaletę konjaku Arvine. Z dotychczasowych „koncertów" ja osobiście doszedłem do wniosku, że popularnemu panu Bocheńskiemu ta marka nie smakuje. Jeśli zaś chodzi o drugiego pupila koncertów reklamowych, o firmy gramofonowe Rudzki i Weksler, jestem zupełnie pewien, że propaganda radjowa zakończy się dla nich źle. Że będziemy jeszcze świadkami masowych demonstracyj radjosłuchaczy, którzy kolejno we wszystkich filjach tych znienawidzonych przedsiębiorstw... Ani słowa więcej. Gdybym opisał te okropności, które się tam będą działy, redaktor nie puściłby mi notatki. Natomiast dla zażegnania grożącego niebezpieczeństwa proponuję, ażeby panów Wekslera i Rudzkiego skazać na codzienne picie konjaku Arvine, zaś właścicieli tej firmy na codzienne słuchanie płyt z obu firm, których adresy tyle razy dziennie komunikowane są radjo- amatorom całego świata.

Notatki nie podpisuję, gdyż w ostatnich zdaniach czuję się wyrazicielem woli ludu.

JEDEN PODATEK

System podatkowy polski należy niewątpliwie do najbardziej skomplikowanych. Jedno z pism codziennych umieściło kiedyś wykaz, który uwidoczniał różnolitość obciążeń podatkowych w Polsce. Z wykazu tego wynikało, że samych podatków państwowych mamy około stu.

Ten stan rzeczy jest naturalnie specjalnie dotkliwy dla t. zw. „szarego człowieka", który nie ma czasu, by specjalizować się w zawiłych arkanach nauki skarbowości i który zupełnie nie orjentuje się. dlaczego Urząd Skarbowy liczy mu rozmaite „dodatki do dodatków".

Najjaskrawiej występują złe strony naszego systemu podatkowego w odniesieniu do ludności wiejskiej. Rolnik nawet wykształcony, lecz żyjący w oddaleniu od ośrodków dyspozycji zarządzeń państwowych, z reguły orjentuje się słabo w rozmaitych przepisach. Pozatem wśród ludności wiejskiej zdarza się największy odsetek nieumiejących czytać i pisać, dla których zrozumienie przepisów podatkowych jest, oczywiście, specjalnie trudne. To też w stosunku do tych przepisów należałoby postawić jeden zasadnicz, postulat: powinny być one jak najprostsze. Obecny system podatkowy, będący rezultatem procesu stopniowego narastania obciążeń powinien ulec daleko idącemu uproszczeniu. Właściciel małego warsztatu rolnego, którego dochód pozostaje poniżej minimum, przewidzianego do obłożenia podatkiem dochodowym, powinien płacić tylko jeden podatek. Podział sum, płynących z tytułu tego podatku, mógłby być dokonywany przez Urząd Skarbowy. W niektórych państwach, np. na Litwie, system jednego podatku w stosunku do drobnych rolników został już zastosowany z dobrem powodzeniem. Wprowadzenie tego systemu u nas oszczędziłoby wiele rozgoryczenia ludności wiejskiej, która niejednokrotnie niezrozumiałe dla siebie przepisy traktuje jako rezultat specjalnie złej woli urzędników.

b. l.

PORZĄDEK W PORĘ I NIE W PORĘ

Od czasu do czasu napotykamy w prasie wiadomości o podjęciu przez władze akcji uporządkowania takiej czy innej dziedziny handlu artykułami spożywczemi. W ostatnich czasach szczególnie popularne jest pod tym względem mięso, względnie żywiec, i nabiał. Pomiędzy temi dwoma dziedzinami aktywności istnieje jednak pewna zasadnicza głęboka różnica. Poczynania władz w kierunku organizowania obrotu żywcem poprzez giełdę, kasę targową, i t. d. mogą dać mniejsze lub większe wyniki, mogą w najgorszym wypadku nie dać wyników, a nawet obok korzyści przynieść pewne szkody — w każdym jednak wypadku są one poczynaniami w założeniu przynajmniej odpowiadającemi „warunkom miejsca i czasu". Co nazywam warunkami miejsca i czasu? Poprostu to, że jesteśmy krajem biednym, o aparacie pośredniczącym źle zorganizowanym i przeżywamy okres kryzysu, którego najostrzejszą postacią jest spadek cen rolnych. Tem samem na czasie jest takie pojmowanie porządku, które zmierza do ochrony najbardziej dotkniętych danemi warunkami obrotu interesów. Porządkowanie spraw mięsnych zmierza do ochrony interesu producenta, do ochrony interesu społecznego poprzez potanienie kosztów obrotu, i t. d. Wyniki tej akcji mogą być mniej lub więcej korzystne, akcja może się nawet nie udać — ale motywy rozpoczęcia akcji są zupełnie zrozumiałe.

W znacznej mierze odmiennie przedstawia się akcja w dziedzinie mleka, produktu o wielkiem znaczeniu gospodarczem. (Nawiasem mówiąc szersza opinja nie zdaje sobie sprawy z tego, że wartość produkcji mleka przekracza wartość produkcji poszczególnych zbóż. Przyczyną tego błędu jest to, że wyobraźnia ludzka pojęcie mleka łączy z wyobrażeniem szklanki czy butelki, a słowo „zboże" nasuwa wyobrażenie łanu lub wysokiej sterty). Otóż obok szeregu poczynań gospodarczych, takich jak np. akcja w kierunku rozwoju i usprawnienia spółdzielczości mleczarskiej, w dziedzinie obrotu mlekiem rozwija się szeroka akcja o charakterze czysto administracyjnym, czysto porządkowym. Motywem tej akcji są najczęściej względy hygieniczne. Jest rzeczą poważnie kwestjonowaną, czy cele hygieniczne są przez tę akcję osiągane. Lapidarnie ujął to kiedyś pewien producent mleka, mówiąc, że mleko brudne nie staje się bynajmniej czystem przez to, że zostanie nalane do brudnych butelek. Niesporne natomiast w zupełności jest obciążenie obrotu mlekiem kosztami hygienicznego porządkowania. Można się

zgodzić z twierdzeniem, że kwestja hygieny mleka posiada tak wielkie znaczenie, iż w imię jej wolno wprowadzić takie obciążenia obrotu, które jednak poziom hygieny podniosą. Tylko że tu właśnie potykamy się o moment czasu.

Rok ostatni był rokiem fantastycznie niskiego poziomu cen mleka. A zatem rokiem szczególnie niesprzyjającym realizacji zamierzeń hygienicznych. W konsekwencji realizacja ustawy nabiałowej, którą początkowo usiłowano na niektórych terenach wprowadzić w życie w jaknajszybszem tempie, musiała ulec zwłoce. Minął jednak pewien okres czasu, i prasa ponownie notuje zarządzenia władz administracyjnych w kierunku „uporządkowania" przepływu mleka od krówki do garnka konsumenta. Zakres tych posunięć jest na różnych terenach różny. Dlatego też nie wchodząc w szczegóły można powiedzieć tylko jedno. Jeśli akcja podyktowana szlachetnym celem ochrony zdrowia nie ma się załamać na tle obecnego stanu kieszeni producenta i konsumenta, to musi być ona prowadzona z pełną świadomością, że tylko zarządzenia niekosztowne względnie mało kosztowne mogą mieć szanse życiowej realizacji w okresie kryzysu.

a. u.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" CZESŁAW BOBROWSKI

SEKRETARZ REDAKCJI ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Druk. „ZAWODOWA", Z. Winkler, Długa 30, tel. 11.53-01.